

3000-

LEON WASILEWSKI

# JÓZEF PIŁSUDSKI

*Jakim Go znałem*

~~1201~~

~~85~~



WARSZAWA 1935

---

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

Komputer:



201474

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW  
w Białymstoku



FUW0052903

108

Praca niniejsza nie jest ani biografją, ani charakterystyką roli dziejowej Józefa Piłsudskiego. Danem mi było spotykać się i pracować z Nim na przestrzeni ćwierćwiecza w rozmaitych momentach i okolicznościach. Pragnę przeto dorzucić do skarbnicy wiedzy o trudzie Jego żywota garść szczegółów, któraby się przyczyniła do uwypuklenia pojedynczych rysów Jego charakteru i wyjaśnienia Jego poglądów. Podawany przeze mnie w porządku chronologicznym materiał opiera się wyłącznie na wrażeniach i wspomnieniach osobistych, jak również na dokumentach, posiadających tenże osobisty charakter. Listy do mnie, przez Józefa Piłsudskiego pisane, a nigdzie dotąd nie drukowane, podaję *ine extenso*.

L. W.

Warszawa, 19 maja 1935 r.

R-85/90

TOWARZYSZ „WIKTOR”



Po raz pierwszy w życiu spotkałem się z *Józefem Pilsudskim* w Petersburgu na jesieni 1896 roku. Spędzałem tam wakacje po powrocie z Zagrzebia i przygotowywałem się właśnie do ponownego wyjazdu zagranicę – tym razem do Zurychu. Przyzwyczajony od paru lat do niczem nie krępowanego śledzenia rozwoju wypadków politycznych i – przede wszystkim – ruchu socjalistycznego zagranicą, dotkliwie odczuwałem brak informacji z tej dziedziny. Prasa rosyjska bowiem, skrępowana warunkami cenzuralnymi, pomijała zupełnie milczeniem to, co mnie najbardziej wtedy zajmowało. Oczywiście, interesowałem się wówczas przede wszystkim losami rezolucji w sprawie niepodległości Polski – rezolucji, przedłożonej międzynarodowemu kongresowi socjalistycznemu w Londynie przez trójzaborową delegację socjalistów polskich.



Prasa rosyjska pisała wprawdzie coś niecoś o samym kongresie, ale o rezolucji polskiej nie wspominała ani słówkiem. To też wielką była moja radość, kiedy w restauracji „Dominicque’a” znalazłem „Kölnische Zeitung”, która podawała dość dokładne sprawozdania z obrad kongresu londyńskiego. Z tego dziennika dowiedziałem się też, że rezolucja polska, wprawdzie w formie zmienionej i niejako rozszerzonej, została przez kongres uchwalona. Wiadomość ta jakoś wymknęła się uwadze cenzury rosyjskiej, która obficie zasmarowywała farbą drukarską wszelkie drażliwe dla Rosji informacje prasy zagranicznej.

Jednakże „Kölnische Zeitung”, podając brzmienie uchwalonej w Londynie rezolucji, nie przynosiła najciekawszych dla mnie wyjaśnień, jakie okoliczności towarzyszyły uchwaleniu tej rezolucji, dlatego została zmieniona, które z delegacji głosowały za nią, kto był jej przeciwny i t. d. To też z wielką przyjemnością przyjąłem zaproszenie studenta prawa – Kostka Demidowicza-Demideckiego, członka petersburskiej grupki P. P. S., na zebranie, na którym miał złożyć sprawozdanie z kongresu londyńskiego jego uczestnik, właśnie przybyły do Petersburga.

Zebranie odbyło się w mieszkaniu tegoż Kostka Demidowicza, zwanego w kołach towarzyszy żartobliwie „Czemodanem”. Poza gospodarzem i mną było obecnych kilku studentów wyższych zakładów naukowych oraz starszy od nas wszystkich człowiek o bardzo charakterystycznej powierzchowności. Przywitał się ze mną, nie wymieniając swego nazwiska, co odrazu wskazywało na to, że był działaczem partyjnym, zachowującym incognito ze względów konspiracyjnych. Ciemny szary o krótkiej bródce i gęstych, przykrywających usta, wąsach, o szarych, łagodnych oczach, dobrotliwie uśmiechających się z pod krzaczastych brwi, sprawiał ujmujące wrażenie.

Tylko ja go widziałem po raz pierwszy, resztę obecnych znał już widocznie, a stosunek, z jakim go traktowali, świadczył o wielkim dlań szacunku.

Sprawozdanie z kongresu, utrzymane w tonie nieprzymuszonej pogadanki, przeplatanej pytaniami zebranych towarzyszy, nie przyniosło mi osobiście prawie nic nowego, poza tem, o czem już wiedziałem z „Kölnische Zeitung”. Sprawozdawca bowiem prawie nie dotknął zakulisowych perypetyj rezolucji, o których dowiedziałem się



czasem, już zagranicą, ale widać było, że przyjęcia rezolucji w tej formie, w jakiej została uchwalona, nie uważał za zwycięstwo delegacji polskiej.

W jego sprawozdaniu i, zwłaszcza, w odpowiedziach, dawanych na zapytania obecnych, zastanowił mnie sposób, w jaki ich traktował. Pomimo naturalności stosunku do zebranych jako do towarzyszy partyjnych, pomimo serdecznej atmosfery, panującej na zebraniu, odczuwało się pewien dystans, leżący między nim a zebranymi, wynikający ze stosunku przywódcy do podkomendnych, którzy z głębokiego przekonania uznali jego wyższość nad sobą, skąd jawna wola podporządkowania się jego przewadze, którejby zapewne nie nadużywał, ale którą umiałby wyzyskać w potrzebie.

Po skończonem zebraniu rozeszliśmy się wszyscy z wyjątkiem sprawozdawcy londyńskiego, który widocznie miał pozostać na noc u Demidowicza. Ten ostatni, wyszedłszy razem ze mną i odprowadzając mnie do domu, udzielił mi paru informacji o swym tajemniczym gościu. Dowiedziałem się więc, że nosi pseudonim – „Wiktor”, że jest „nielegalnym” i że, jako taki, pędzi „straszne życie”, nie posiadając ani własnego domu,

ani stałego nazwiska, ustawicznie wystawiony na niebezpieczeństwo „wsypy” ze wszystkimi jej tragicznymi konsekwencjami. Przyjeżdżał od czasu do czasu do Petersburga, przywożąc „Robotnika” i wszelką „bibulę”, utrzymywał stały stosunek z petersburską organizacją P. P. S. i odbierał od niej przeznaczone na cele partyjne pieniądze. Cieszył się bezwzględny zaufaniem i uważany był za autorytet.

Wkrótce potem opuściłem Petersburg i przez Warszawę, Kraków, Pragę, Wiedeń i Monachjum przyjechałem późną jesienią 1896 r. do Zurychu. Tam zbliżyłem się z paru studentami, jak się później okazało, członkami miejscowej sekcji „Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich” (Z. Z. S. P.). Najstarszy z nich, Bolesław Mikłaszewski (później jeden z pierwszych ministrów oświaty w Polsce niepodległej), z którym najbardziej się zaprzyjaźniłem, opowiadał mi o swym pobycie w Londynie podczas międzynarodowego kongresu socjalistycznego i „krajowcu” – „Wiktorze”, który tam wówczas przebywał i z którym odbywał dłuższe przechadzki po bezkresnych obszarach wiecznie zamglonej stolicy Anglii. Mówił o „Wiktorze”, jako o jednostce wybitnej i



wpływowej w partji, z wielkiem uznaniem i nie-tajoną sympatją.

Byłem już wówczas współpracownikiem londyńskiego „Przedświtu”, organu Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich, jakkolwiek formalnie jeszcze do tego ostatniego nie należałem. W Londynie zainteresowano się moją osobą i Centralizacja Z. Z. S. P. zwróciła się do organizacji krajowej P. P. S. o informacje o mnie. W odpowiedzi na to przyszedł list, pisany w końcu grudnia 1896 r., przez towarzysza „Wiktora”, który w ten sposób mię scharakteryzował: „Pytacie o autorze słowiańszczyzny (mój pierwszy artykuł w „Przedświcie” miał tytuł „Nasze zadania wobec prądów moskalofilskich wśród słowian”). Słyszałem o nim dosyć wiele od różnych osób, sam się z nim widziałem bardzo krótko. Facet porządny i pewny. Ma zamiary osiedlić się zczasem w Poznańskim i tam pracować dla nas. Teraz utrzymuje stosunki ze wszystkimi djabłami na świecie i nie występuje wyraźnie jako nasz, dlatego, że określona marka ma mu przeszkadzać w stosunkach z różnemi obozami, które on teraz chce wystudjować. Tak mi o nim mówili jego najbliżsi przyjaciele (nasi chłopcy). Zarabia lite-

raturą: pisuje w miesięcznikach rosyjskich. Oso-biście mnie się wydał sympatycznym i inteligentnym chłopakiem.”

W tymże Zurychu, ale już w przeszło rok później, miałem się spotkać poraz drugi z towarzyszem „Wiktorem” – a to w następujących okolicznościach.

Podczas świąt Bożego Narodzenia r. 1897 miał się odbyć w Zurychu w związku z dorocznym zjazdem „Zjednoczenia polskich towarzystw młodzieży zagranicą” tajny zjazd Z. Z. S. P. Na ten ostatni zostałem wydelegowany przez sekcję wiedeńską Z. Z. S. P., w której wówczas, przebywając w Wiedniu, pracowałem. Byłem nietylko delegatem, ale również kandydatem „opozycji” Z. Z. S. P. na stanowisko redaktora „Przedświtu” i członka Centralizacji Z. Z. S. P. W poprzednich bowiem miesiącach, wciągnięty w Zurychu do organizacji Z. Z. S. P., dałem się już poznać szerszemu gronu towarzyszy jako publicysta. A moja praca w sekcji wiedeńskiej Z. Z. S. P., którą pchnąłem na nowe tory, zjednała mi uznanie również i Centralizacji londyńskiej. W ten



sposób moja kandydatura nabrała znaczenia realnego.

Opozycja Z. Z. S. P. powstała nie na tle jakichś różnic programowych, czy taktycznych, lecz z pragnienia, aby nowi ludzie, wprowadzeni do Centralizacji i redakcji „Przedświtu”, usunęli te braki i niedomagania, które trapiły ogół członków Z. Z. S. P., a które przypisywano niedołęstwu, czy nawet złej woli poszczególnych członków Centralizacji. Chodziło przede wszystkim o to, aby „Przedświt” wychodził regularnie, co wymagało stałego pobytu w Londynie jego redaktora. Tymczasem ten ostatni w osobie dra Witolda Jodki po paru miesiącach siedzenia w Londynie wyjeżdżał na kontynent, pozostawiając redagowany przez siebie organ na opiece „londyńczyków”, którzy nie mogli sobie dać z nim rady – i to nie tylko z powodu nieobecności redaktora, zań odpowiedzialnego, ale i ze względów finansowych. Stąd niechęć „opozycji” wobec Jodki, który pozatem swemi hulankami z młodzieżą budził zastrzeżenia charakteru etycznego. Do tego dołączyły się osobiste zadrażnienia i nieporozumienia między samymi „londyńczykami” – i w rezultacie „opozycja” na zjeździe zuryjskim uzyskała prze-

wagę paru głosów, co pozwoliło jej zapanować nad sytuacją i przeprowadzić wszystkie swoje zamierzenia.

Zanim jednak do tego doszło, na zjeździe ujawnił się zatarg między „opozycją” a delegatem „kraju”, członkiem Centralnego Komitetu Robotniczego – towarzyszem „Wiktorem”. Ten ostatni, przedstawiciel najwyższego dla nas autorytetu – P. P. S., działającej w kraju, dla której wszyscyśmy byli pełni entuzjazmu, opowiadał się stanowczo przeciwko przygotowanemu przez nas „przewrotowi”. Z. Z. S. P. był wprawdzie podówczas organizacją samodzielną i niezależną organizacyjnie od P. P. S. Jednakże każdy z nas uważał, że jedyną racją bytu Z. Z. S. P. jest jej wydajna pomoc ruchowi „krajowemu” – t. j. tejże P. P. S. zaboru rosyjskiego przede wszystkim. Stąd wszelki dysonans, wprowadzony w stosunki z „krajem”, wydawał się nam czemś wprost fatalnym. A tu właśnie „kraj” w osobie towarzysza „Wiktor” w osobistych rozmowach z poszczególnymi przedstawicielami „opozycji” począł wykazywać, na jak wielkie ryzyko wystawiają losy Z. Z. S. P. i stosunek jego z P. P. S., opierając się przy gwałtownym „przewrocie”, usuwającym od steru Z. Z.





S. P. i „Przedświtu” dotychczasowych doświadczonych działaczy, do których „kraj” ma zaufanie i zastępującym ich nowymi, młodemi, jeszcze nie wypróbowanymi siłami.

Towarzysz „Wiktor” godził się na częściową reformy, ale nie na radykalne „cięcie cesarskie”. Jego argumenty zwracały się głównie przeciwko mnie, jako temu, który nie przeszedł był szkół „roboty krajowej”.

Drugi z naszych kandydatów do Centralizacji - Władysław Studnicki, był bardziej „mangeable” dla „kraj” jako dawny działacz i zesłaniec, i był nawet pewne plany co do niego: miano mu zaproponować wejście do roboty krajowej. Poza tem usunięcie ze stanowiska sekretarza Centralizacji - Bolesława Antoniego Jędrzejowskiego („Baja”), co było nieuniknione przy zwycięstwie „opozycji” (gdyż tylko w tym wypadku mógłbym objąć redakcję „Przedświtu”, gdybym równocześnie zajął stanowisko sekretarza Centralizacji - jedynie stanowisko płatne), towarzysz „Wiktor” wytknął jako oburzającą niesprawiedliwość.

Pod wpływem rozmów z towarzyszem „Wikto-rem” poszczególni przedstawiciele „opozycji” zaczęli się już chwiać, ale ogólna niechęć do Jod

ki i popierającej go części „londyńczyków” była tak głęboka, a wiara w to, że „nowi ludzie” spełnią pomyślnie włożone na nich zadania, tak silna, że się ostatecznie oparli wszelkim namowom przedstawiciela „kraj”. Wówczas towarzysz „Wiktor” zwrócił się bezpośrednio do mnie. Głównym jego argumentem było:

- Nie podolacie pracy...

Istotnie, przenosząc się do Londynu, musiałbym sam spełniać te funkcje, które dotychczas były spełniane przez trzy osoby: Jodkę, Jędrzejowskiego i Feliksa Perla. W dodatku nie posiadałem ani wyrobienia, ani doświadczenia żadnego z nich, nie znałem zupełnie Londynu, a zajęcie redaktora, sekretarza, administratora i ekspedjenta napewno by mi zajęło tyle czasu i pochłonęło tyle sił, że musiałbym się liczyć z zupełną utratą dotychczasowych zarobków literackich. Jedynym moim argumentem było, że będziemy pracowali we dwoje - z żoną, którą towarzysz „Wiktor” znał i cenił jako była członkinię petersburskiej grupy P. P. S.

Jakkolwiek widocznem było, że towarzysz „Wiktor” z grożącego Związkowi „przewrotu” był ogromnie niezadowolony, to jednak poza argumen-



tami zupełnie objektywnymi – nie wywierał żadnego nacisku o charakterze ultymatywnym, jeśli się tak można wyrazić. Zagrożenie np. zerwaniem stosunków „kraju” z Z. Z. S. P. na wypadek „przewrotu” niechybnie rozbiłoby front „opozycji”, rozporządzającej zaledwie dwoma głosami większości. Jednakże towarzysz „Wiktor” wytrwał do końca na stanowisku zupełnie lojalnym delegata partji, organicznie niezwiązanej z Z. Z. S. P., niejako gościa na jego zjeździe.

I „opozycja” przeprowadziła wszystko, co chciała, zmieniając skład Centralizacji i przekazując mnie redakcję „Przedświtu” wraz z sekretarjatem Centralizacji. Towarzysz „Wiktor” nie ukrywał swego niezadowolenia z tych zmian, zapowiadając, że zreferuje wszystko Centralnemu Komitetowi Robotniczemu (C. K. R.), i dając tem nam niejako do poznania, że „kraj” niewiadomo jeszcze jak ustosunkuje się do nowej sytuacji.

Po skończonym zjeździe, który odbywał się w jednej z restauracyj zuryskich, w osobnym pokoju, towarzysz „Wiktor” rzekł głośno do Jodki w tonie żartobliwym, jakkolwiek nieco cierpkim:

– Chodź, założymy sobie teraz „koronę piwną”...

A trzeba wiedzieć, że argument „korony piwnej” odgrywał niepoślednią rolę w wystąpieniach poszczególnych członków zjazdu przeciwko Jodce i jego potępianym praktykom burszowskim.

Kiedym po zjeździe omawiał z towarzyszem „Wiktorem” sprawę „Przedświtu” i zapewniał go, że nam nie chodzi o żadne radykalne reformy czy zmiany, tylko o regularne jego wychodzenie, powiedział mi dość sucho:

– To bardzo dobrze... – i tem zamknął rozmowę.

W parę dni później uczestnicy zjazdu Z. Z. S. P. (poza delegatami zuryskimi) rozjechali się. Pożegnałem się z towarzyszem „Wiktorem”, który wracał do kraju, na ulicy. Kiedym go obejmował, całując (był to zwyczaj utarty, gdyż, żegnając takiego „krajowca”, nigdy nie miało się pewności, że się go kiedykolwiek w życiu jeszcze zobaczy), zrzuciłem mu niechcąc z głowy melonik, z czego było dużo śmiechu.

W początkach stycznia 1898 r. osiadłem na długich pięć lat w Londynie – i tam znów miałem spotkać się z towarzyszem „Wiktorem”, którego



nazwiska dotychczas nie znałem. Nazwiska tego nikt ze znających je w Londynie nie wymawiał nawet wobec najbardziej zaufanych osób, bo tak nakazywała podstawowa zasada konspiracji: działacz rewolucyjny ma wiedzieć tylko to, co mu jest koniecznie potrzebne. Niemniej jednak dowiedziałem się, a raczej domyśliłem się tego nazwiska, przeglądając prospekt nowego pisma partyjnego, popularno-naukowego „Światła”, założonego przez P. P. S., a redagowanego przez B. A. Jędrzejewskiego. Powierzenie redakcji tego pisma „Bajowi” było niejako rekompensatą „krajowi” za krzywdę, jaka go była spotkała na zjeździe zuryskim, gdyż do tego pisma była przywiązana pensja, zastępująca Jędrzejowskiemu odebraną mu pensję sekretarza Z. Z. S. P. Otóż, w prospekcie „Światła” Jędrzejowski wydrukował między innymi nazwiskami współpracowników również nazwisko Stanisława Wojciechowskiego i Józefa Piłsudskiego – jedyne, nie należące do emigrantów, a więc „krajowców” nielegalnych. Ponieważ zaś wiedziałem skądinąd, że towarzysz „Wiktor” napewno nie był Wojciechowskim, więc z łatwością wykombinowałem, że się nazywa – Józef Piłsudski. Zadowolony ze swego odkrycia, zakomuniko-

wałem je kiedyś mimochodem w sposób samochwalczy Jędrzejowskiemu, który bardzo był zgorzony moją domyślnością i nawet uznał moje postępowanie za wysoce nielojalne. Taka to w owych czasach była konspiracja.

Na początku lipca 1898 r. towarzysz „Wiktor”, oddawna zapowiadany w listach z „krajowi”, przybył do Londynu w związku z wykradzeniem przez pps-owców petersburskich tajnego memorjału generał-gubernatora Imeretyńskiego. Zamieszkał u Bajy-Jędrzejewskiego (119 Stepney Green Dwellings, Stepney, London E), skąd przychodził na 7 Beaumont Square Mile End Road, London E., gdzie się podówczas mieścił lokal Centralizacji Z. Z. S. P. wraz z drukarnią i redakcją „Przedświtu”.

Echa zjazdu zuryskiego i związanych z tem zdrażnień wewnętrznych były jeszcze bardzo żywe. Stosunki między nową Centralizacją, a raczej między jej londyńską częścią (t. j. mną, Studnickim i Aleksandrem Dębskim) a Jędrzejowskim, a zwłaszcza Jodką, który osiadł na jakiś czas w Bernie szwajcarskim, nie były normalne. Usunięci przez „opozycję” starzy działacze nie szczędzili wobec „krajowców” skarg na nowe rządy



w Z. Z. S. P., myśmy znowuż w korespondencji wewnętrznej Z. Z. S. P. nie przestawali wskazywać na fatalne – zdaniem naszym – skutki dawnych rządów. Wytwarzała się sytuacja, która groziła ustaleniem się na czas dłuższy fermentu, bardzo niepożądanego ze stanowiska interesów „kraju”. To też towarzysz „Wiktor”, przybywszy do Lodynu i zapoznawszy się z panującymi w Z. Z. S. P. stosunkami, nie mógł nie zareagować na nie. Punktem zaczepnym stał się jeden z moich listów poufnych do zwolenników „opozycji” zjazdowej w sekcji lwowskiej. Treść tego listu została ujawniona wobec Jodki, który nie omieszkiał wnieść o to skargi do „kraju”. Zbieg okoliczności chciał, że w liście mym oparłem się na urzędowym liście „krajowym”, pisanym przez towarzysza „Wiktor” do Centralizacji, nie mając go podczas pisania przed oczyma, skutkiem czego zniekształciłem poniekąd sens jego, bez żadnej zresztą intencji w tym kierunku. Otóż fakt ten został mi przez towarzysza „Wiktor” wytknięty w sposób ostry na posiedzeniu Centralizacji. Musiałem wysłuchać od niego reprimandy, wypowiedzianej surowym tonem, podkreślonym jeszcze szeregiem uderzeń podeszwy buta o podłogę.

Autorytet towarzysza „Wiktor”, jako reprezentanta „kraju”, dla którego miało się bezgraniczne oddanie, był tak wielki, że wysłuchałem tej reprimandy jako słusznej „kary” za popełniony błąd i wyjaśniłem wszystkie okoliczności mimowolnej winy bez ogródek. Ale ta scena i obraz tupiącego nogą towarzysza „Wiktor” nazawsze pozostały mi w pamięci, tem bardziej, że nigdy już później nie widziałem go w takiej pasji. Wy tłumaczyłem ją sobie jako „rewanż za Zurych” i przeszedłem nad nią do porządku dziennego.

Podczas owego parutygodniowego pobytu towarzysza „Wiktor” w Londynie spotykałem się z nim kilka razy. Będąc kiedyś na Beaumencie, złożył mnie i mojej żonie niejako oficjalną wizytę i siedział u nas około godziny, wesoło opowiadając rozmaite rzeczy na tle stosunków krajowych. Mówił między innem, że nigdy nie nosi przy sobie broni, bo – w razie aresztowania – napewno by jej nie użył. Mówił też, że jest zanadto leniwy na to, aby porządnie zaszyfrowywać notatki konspiracyjne, wobec czego często jest w kłopotcie, bo ich nie może odcyfrować... Podczas tej pogadanki był usposobiony wesoło, a śmiał się tak serdecznie i głośno, że słyhać go było w całym domu.



zajmowanym przez nas, państwo Dębskich i drukarnię.

Przed samym już wyjazdem zaprosił mnie do Jędrzejowskiego na kolację, połączoną z małą bibliką, na której, gawędząc, przesiadaliśmy aż do świtu. Oprócz mnie był tam jeszcze Kazimierz Roźnowski, który przyjechał do Londynu, aby się nauczyć zecerki i potem pojechać do kraju w charakterze nielegalnego zecera w drukarni „Robotnika”. Było to coś w rodzaju próby pogodzenia mnie osobiście z „Bajem”, z którym utrzymywałem stosunki oficjalne jako z członkiem „Komisji Konspiracyjnej”, na ręce którego nadchodziły listy z „krajem”, komunikowane mi w dotyczących mnie wyjątkach. Próba ta narazie nie dała wyników: obopólne niechęci, związane ze zjazdem zuryjskim, były jeszcze za silne, choć ja osobiście, rozejrzawszy się dokładniej w stosunkach, panujących w Londynie, gruntownie zmieniłem swoją opinię o „Baju”, narzuconą mi przez starszych zwolenników „opozycji”. „Baj”, który miał bardzo słabą głowę, wstawił się i – zwyczajem swym – począł pleść głupstwa, których słuchałem z niesmakiem. Sytuację łagodził towarzysz „Wiktor”, który rano zaproponował mnie i Roźnowskiemu prze-

chodzić do niezbyt daleko położonego parku Victoria. Oglądaliśmy tam wspólnie śliczne łanie, którym towarzysz „Wiktor” przyglądał się z pewnym rozrzewnieniem.

Wkrótce potem, na początku sierpnia 1898 r., towarzysz „Wiktor” opuścił Londyn i pojechał do „krajem”, jakieśmy wówczas nazywali zabór rosyjski.

Stosunki Z. Z. S. P. z „krajem” stopniowo normowały się. Dębscy wyjechali do Ameryki, myśmy się zbliżyli z Jędrzejowskimi i ja, przekonawszy się ostatecznie, jak niepospolitej wartości człowiekiem i działaczem był „Baj”, który wszystko poświęcił dla ruchu, nic dla siebie wzamian nie żądając, nietylko sam zmieniłem opinię o nim, ale przekonałem wszystkich zwolenników dawnej „opozycji”, żeśmy mu wyrządzili w Zurychu dotkliwą krzywdę. W ten sposób zatarte zostały powoli ślady dawnych zadrażeń i w stosunkach londyńskich stopniowo zapanowała harmonja. Jednocześnie i stosunek mój z „krajem” wyrównał się zupełnie. Moja wytrwała praca, której przyglądali się przyjeżdżający do Londynu „krajowcy”, znajdowała uznanie. Jodko również przebołał do pewnego stopnia despekt, jaki go był spot-



kał w Zurychu, więc i z tej strony był spokój.

O działalności tow. „Wiktor” dochodziły nas ściśle zakonspirowane wieści z kraju – w listach, otrzymywanych przez „Baja”.

Na początku kwietnia 1899 r. towarzysz „Wiktor” znowu przyjechał do Londynu. Był u nas wraz z towarzyszem Kazimierzem Krauzem (Michałem Luśnią), paryskim członkiem Centralizacji Z. Z. S. P. Obydwaj przyglądali się z ciekawością mojej kilkunastodniowej córeczce, którą Krauz brał, spowitą w poduszce, na ręce i huśtał ku wielkiemu przerażeniu towarzysza „Wiktor”. Ten bowiem mówił, że za żadne skarby nie wzięłby takiego małego dziecka na ręce w obawie, że się natychmiast „połamie”.

Podczas owego kwietniowego pobytu w Londynie tow. „Wiktor”, jak zwykle, mieszkał u „Baja” i od czasu do czasu przychodził na Beaumont Square, gdzie się mieściły drukarnia i składy wydawnictw Z. Z. S. P. oraz gdzieśmy mieszkali. Spotykałem się więc z nim i tu i tam. Przed swym przyjazdem do Londynu był w Petersburgu i opowiadał z wielkim oburzeniem o małoduszności petersburskiej kolonji w stosunku do Erazma Piltza, ówczesnego redaktora ugodowego tygod-

nika petersburskiego „Kraj”. Chodziło o jakąś imprezę dobroczynną i o stojący na jej czele komitet, do którego miał wejść również Piltz. Radykalna młodzież petersburska zakwestjonowała tę kandydaturę ze względów politycznych, i już miało Piltza pominąć. Kiedy jednak ten ostatni zjawił się na decydującym zebraniu i wręcz oświadczył, że, o ile się go nie chce mieć w komitecie, ustąpi dobrowolnie; wówczas większość oświadczyła, że nikt nic przeciwko Piltzowi nie ma, i w ten sposób pozostał on w Komitecie.

W rozmowach, potrącających o tematy, związane z robotą partyjną w kraju, często wspominało się o stosunkach żydowskich. Tow. „Wiktor” chętnie o tem mówił, zwłaszcza, że chodziło tu przede wszystkim o agitację wśród Żydów na Litwie – w Wilnie, Mińsku i t. d. P. P. S. posiadała wówczas dość poważne stosunki wśród proletariatu żydowskiego w Warszawie i w Białymstoku, gdzie inteligentniejsi robotnicy chętnie garnęli się do ruchu polskiego, żądając tylko wydawnictw żargonowych, które P. P. S. otrzymywała z Ameryki, zanim przystąpiła do wytworzenia własnej literatury agitacyjnej w żargonie. Natomiast w ośrodkach Litwy (historycznej) wśród



proletariatu żydowskiego rej wodziła inteligencja żydowska, zupełnie zrusyfikowana kulturalnie i, skutkiem tego, wywierająca wpływ rusyfikatorski i na proletarijat żydowski. Tow. „Wiktor” prowadził na gruncie wileńskim gorące dyskusje z miejscowymi przedstawicielami żydowskiego ruchu socjalistycznego – przyszłymi kierownikami „Bundu” – na temat programu niepodległości, kwestji narodowościowej, stosunku do Rosji i t. d. Musiał występować dość ostro, bo, jak sam mówił, przyłgnęło doń w opinji żydowskiej określenie – „izwiestnyj arrogant”, a niektóre z jego powiedzeń odbiły się nawet w literaturze agitacyjnej „bundowców”. Tak np. jego twierdzenie, że nas stosunki rosyjskie obchodzą w tej samej mierze (pinkt a zoj), co australskie, było cytowane na dowód skrajnego szowinizmu P. P. S.

Na tle tych stosunków z „żydkami” litewskimi, których traktował żartobliwie, choć bez cienia antysemityzmu, opowiadał rozmaite anegdotki, z których jedną zapamiętałem. Oto – podnieceni dyskusjami na temat spraw narodowościowych – „żydki” udali się do pewnego swojego „rabina” socjalistycznego, mieszkającego gdzieś w Szklowie czy w Pińsku, z żądaniem, aby ten nareszcie okre-

ślił ściśle i naukowo – co to jest właściwie narodowość. Ow „rabin” socjalistyczny po dłuższym namyśle dał im odpowiedź, która przecięła wszelką dalszą dyskusję:

– *Narodnost’ – eto abstrakcja!*

Wracając do „kraju”, towarzysz „Wiktor” chciał koniecznie zawadzić o Westfalję i Nadrenję, gdzie go zaciękały liczne kolonje robotników polskich. Pragnął przekonać się osobiście o prawdziwości twierdzenia prasy, jakoby niektóre miasteczka przemysłowe westfalsko-nadrenskiego Zagłębia miały charakter prawie polski. Miał też być w Dreźnie, aby zobaczyć się z Jerzym Haasem, miejscowym działaczem socjalistycznym, pochodzącym wprawdzie z Kongresówki (z Kalisza), ale obywatelem pruskim. Chodziło o zbadanie, czy nie nadawałby się na stanowisko agitatora P. P. S. w zaborze pruskim, gdzie podówczas nie było ani jednego socjalisty polskiego-inteligenta. Uprzedziliśmy więc Haasego, że się u niego zjawi niejaki „Wiktor Kościeszka”. Ostatecznie jednak towarzysz „Wiktor” z Haasem się nie spotkał, bo go nie zastał w Dreźnie.

Wkrótce po powrocie towarzysza „Wiktora” do kraju w Rosji wybuchły rozruchy studenckie, pe-



rjodycznie powtarzające się na uniwersytetach rosyjskich. Tym razem przybrały one rozmiary większe niż zwykle i sprowadziły surowe represje władz. Między innymi wydalono i wysłano do miejsc stałego zamieszkania wielką liczbę relegowanych studentów. Echa tych wypadków obily się i o Warszawę, gdzie radykalniej usposobiona młodzież polska stanęła na stanowisku konieczności poparcia ruchu studentów rosyjskich, gdy czynniki umiarkowane i reakcyjne były temu przeciwnie. Ponieważ „Przedświt” musiał w tej sprawie zabrać głos, reprezentujący zasadnicze stanowisko Partji, a zdania w łonie Centralizacji były podzielone\*), przeto zwróciłem się o rozstrzygnięcie kwestji do C. K. R., żądając od niego instrukcyj.

W odpowiedzi na moją interpelację otrzymałem list towarzysza „Wiktora” z 14 maja 1899, który przynosił następujące uwagi:

\*) Wł. Studnicki (Veto) w sposób sobie właściwy sformułował wydrukowane w „Przedświcie” „votum separatum”, wypowiadające się bardzo ostro przeciwko udziałowi studentów Polaków w tym ruchu.

Kochany Towarzysze.

Najbardziej mi było miło rozmawiać z  
Panem, że w tym delegato nie forsujemy a  
wolno być spowinowacym do reprezentowania nas  
w tym, i obrany naszymi towarzyszami  
Kobla i Edmundem, a którego wybierzesz się do  
umierania w tych sprawach

A mi nie P. K. R.

Wiktora

Fascimile listu do L. Wasilewskiego z grudnia 1899 r.



„Kochany Towarzyszu! Pytacie o zdanie nasze w sprawie studenckiej. Niestety, zdanie to nie jest zupełnie jednolite i sądzę, byłoby najlepiej w sprawie tej być najwięcej obiektywnym – „s odnoj storony nielzia nie soznaťsia, s drugoj nielzia nie priznaťsia”, jest to dla nas tem łatwiejszem, że przecie nie jest to u nas sprawą wewnętrzną – chwilowo tylko wdarła się ona do nas w czasie rozruchów warszawskich – dotychczas zaś jest ona przeważnie sprawą rosyjską, o której można spokojnie mówić. Otóż jako sprawa rosyjska, ma ona, naturalnie, dodatnie znaczenie dla Rosji, bezwątpienia studenci w Rosji, jak i wogóle wszędzie, nie są oporą pewną dla żadnego ruchu rewolucyjnego, lecz wystąpienie ich musiało oddziaływać rewolucyjnie na społeczeństwo rosyjskie – raczej opozycyjnie, nie rewolucyjnie. Następnie, rozsypanie takiej masy ludzi, znajdujących się w stanie podnieconym, zaagitowanych przeciw rządowi, musi też mieć wpływ na prowincję rosyjską. I bezwątpienia, gdyby w Rosji istniała jakakolwiek wybitniejsza organizacja rewolucyjna, mogłaby ona znako-

miecie wzmocnić swe szeregi i rozszerzyć wpływy na społeczeństwo. Lecz całkiem inaczej wygląda sprawa, gdy ją przeniesiemy na nasz grunt i postawimy kwestję, czy Warszawa musiała pójść razem ze studentami w Rosji, czy nie. To jest kwestja drażliwa, bo popierwsze faktem jest, że w rozruchach warszawskich nasi i wogóle socjaliści rej wodzili – oponowali zaś patryjoci i ugodowcy, dalej opinja publiczna przypisuje również rozruchy socjalistom i nagana studentom mogłaby się wydać bardzo wielu jako nagana socjalistom, następnie opozycja przeciwko rozruchom działała strasznie marnemi środkami: potwarzą, lojalizmem i t. d., nareszcie wśród nas samych, t. j. ludzi partji nie ma zupełnej zgody co do tego faktu. Wybrnijcie więc z tego chaosu ostrożnie. Moje osobiste zdanie jest contra udziału Warszawy, chociaż na niektóre argumenty, przez Veto użyte, zgodzić się nie mogę, a głównie mam mu do zarzucenia ton jego votum zbyt arogancki...”

Drugi list towarzysza „Wiktor” z r. 1899, pi-



sany do mnie z kraju 19 listopada, był wywołany następniemi okolicznościami:

P. P. S. w swej działalności stykała się coraz bardziej z przedstawicielami ruchów socjalistycznych narodowości sąsiednich – Litwinów, Łotyżów i t. d. Stąd dążność do szerzenia wśród nich tendencyj separatystycznych wobec Rosji. Ponieważ zajmowałem się już wówczas bardzo żywo sprawami narodowościowemi i pisywałem o nich tak w prasie legalnej, jak i w „Przedświcie”, przeto powstał projekt wydania specjalnej broszury „We wspólnem jarzmie”, której ułożenie mnie polecono. Napisałem ją i skrypt wysłałem do kraju do aprobaty. W odpowiedzi na to otrzymałem obszerny list towarzysza „Wiktora”, który tu podaję w całości ze względu na jego bardzo ciekawą i charakterystyczną treść. Zawiera on bowiem kwintesencję poglądów ówczesnych towarzysza „Wiktora” na kwestje narodowościowe w państwie rosyjskiem – poglądów, które (zwłaszcza w stosunku do Litwy historycznej) odegrały wybitną rolę w późniejszej działalności Józefa Piłsudskiego.

List ten brzmi:

*Drogi Towarzyszu! Dzisiaj dopiero mogę*

*Wam zakomunikować zdanie nasze o napisanej przez Was broszurze „We wspólnem jarzmie”. Dotychczas nie mogliśmy się zdobyć na jej przeczytanie i naradzenie się z powodu tego wydawnictwa. O wstępie jużem pisał i, jak mi donosi tow. Edmund (Stanisław Wojciechowski, przebywający wówczas czasowo w Londynie, – L. W.), macie go przerobić. Niestety, zdaje się, obarczymy Was pracą przerobienia i samej broszury. O ile mnie się zdaje, braki broszury wynikły bodaj głównie, że temat i zakres jego opracowania jest za szeroki, by go można było przystosować do broszury agitacyjnej. Ogólne wrażenie da się wyrazić słowami: „Za dużo geografji i statystyki, za mało agitacji i informacji o stosunkach socjalnych oraz warunków (sic) w każdym z pojedynczych narodów”. Rozumiem dobrze, że, chcąc jeszcze wsadzić w broszurę to, czego tam niema, trzeba było ją znacznie rozszerzyć, co znowu jest niepodobieństwem ze względu na jej przeznaczenie dla szerokich bardzo kół czytelników. Sądzę więc, że trzeba zrobić miejsce, usuwając rzeczy mniej potrzebne.*



Za takie uważam: 1) cały prawie dział I „Narody i plemiona, ujarzmione przez Rosję” – poświęcony etnografji i geografji państwa rosyjskiego, można go skrócić do rozmiarów minimalnych i wcisnąć do wstępu. Nie mamy potrzeby w broszurze agitacyjnej szczegółowo opisywać skład etnograficzny nieledwie każdej gubernji Rosji, dosyć powiedzieć, że nawet wśród ludności rdzennie rosyjskiej istnieje cała masa ludów i szczepów – w przybliżeniu podać cyfrę ludności nierosyjskiej i zostawić określenie, że im dalej od Moskwy, tem tego więcej, lecz, jak to słusznie wykazaliście, mogą one tylko powiększać masową siłę reakcyjną caratu, a specjalnie zajmiemy się tylko temi narodami, które stanowią najbliższych naszych sojuszników, pominąć więc trzeba w broszurze i 2) Ormian i Gruzinów, 3) Moldowian. O Ormianach i Gruzinach narazie dosyć krótkiej wzmianki w zakończeniu broszury, gdzie parę słów można poświęcić i środkowej Azji. Zostałyby wówczas tylko następujące działy: 1) Litwa i Białoruś, 2) Małoruś, 3) Kraj Nadbałtycki i 4) Finlandja. Otóż (?) parę

słów o każdym z tych działów. 1) Jak widzicie, łączę tu Litwę i Białoruś w jeden dział, a to z powodów następujących. Jednakowość warunków prawno-administracyjnych i historycznych zmuszałaby nas do powtarzania się. Ta sama jednakowość panuje i w składzie etnograficznym, i stosunkach społecznych, naturalnie – wyjąwszy, że w jednym wypadku tło jest litewskie, w drugim – białoruskie. Łączenie takie jest tem bardziej słuszne, że, mówiąc o Białejrusi, będzie się miało na widoku przedewszystkiem i przeważnie jej części katolickie lub doniedawna unickie t. j. te części, na które poważnie liczyć w przyszłości możemy. Nareszcie poważnym powodem jest i ta okoliczność, że nasi przyjaciele z L. S. D. (Litewska Socjaldemokracja, – L. W.), jako główny argument przeciwko nam używają „podziału Litwy”, gotowi oni są raczej dać się zjeść w całości, niż żyć podzieleni. Nawet wówczas, gdy, zdawało się, położymy kres ich istnieniu, chcieli oni prosić przy połączeniu, byśmy postarali się o zniesienie uchwały P. P. S., rozgraniczającej Litwę i dzielącą ją na rdzenną i polsko-białoruską.



Tant mieux. Tamta uchwała P. P. S. była w tym celu wyniesiona, by odciąć brak za-  
 borczości naszej i nadmiar warcholstwa  
 L. S. D. Obecnie polemika nam nie jest po-  
 trzebną, gdyż jesteśmy na dobrej drodze  
 wchłonięcia L. S. D. Teraz przechodzę do  
 tych wymagań, jakie mielibyśmy względem  
 tego działu. a) Zaznaczyć i dowieść trzeba  
 myśli, że z wielu względów Litwa to dal-  
 szy ciąg Polski, więc ogromny procent Po-  
 laków, język polski w miastach, wpływ duży  
 kultury polskiej, słowem – Polacy są poważ-  
 ną składową częścią kraju, przyczynia się do  
 tego wspólna tradycja historyczna, udział w  
 powstaniach, rewolucjach polskich i w ru-  
 chu socjalistycznym Litwinów-Polaków. b)  
 Stan po 63 roku – zamknięcie masy szkół,  
 wyrzucenie języka polskiego zewsząd, nawet  
 z ulic, prawa wyjątkowe do języka litew-  
 skiego, ucisk policyjny i religijny, pra-  
 wa co do kupna ziemi, co rujnuje stale  
 kraj. Skutek – upadek kultury, oświaty i roz-  
 woju ekonomicznego. Przy prześladowaniach  
 zaznaczyć trzeba, że wszystkie prześladowania  
 są skutkiem rewolucyjności polskiej części

ludności, która daje inicjatywę we wszyst-  
 kich ruchach rewolucyjnych. c) Innej drogi  
 Litwa niema, jak iść z nami razem i to naj-  
 ściślej razem, bo ruch rewolucyjny w Polsce  
 dzięki wspólności kulturalnej zawsze znajdzie  
 odbicie w Litwie, a wówczas wszelkie sprze-  
 ciwianie się temu ruchowi tylko osła-  
 bia go, natomiast przegrana ruchu pociąga  
 za sobą tylko zwiększony ucisk, spadający i  
 na tych, co mu się sprzeciwiali. d) Specjalnie  
 o Litwinach – szwarcowanie bibuły, jakoś  
 bibuły t. j. stronnictwa reakcyjne – katolic-  
 kie, na nich zwalić rusofilstwo – przedstawi-  
 ciele bogatych chłopów i wykluwającej się  
 burżuazji litewskiej, radykalny ludowy słaby  
 dotychczas, lecz czasem mogący odegrać ro-  
 lę – to nasi przyszli sojusznicy, nareszcie so-  
 cjaliści, ruch robotniczy w Wilnie, Kownie i  
 innych miastach, ruch z natury rzeczy prze-  
 ważnie polski – powstał i rozwija się pod  
 ogromnym wpływem ruchu polskiego, skąd  
 bierze i literaturę, i wzory. e) O Białorusi-  
 nach słów parę powiedzieć to dosyć – za-  
 znaczyć niewyraźność ich uczuć narodowych,  
 trochę o prześladowaniu ich języka i religji.



f) Zaznaczyć politykę rządu po 63 r., przeciwstawiającą Litwinów i wogóle chłopów Polakom i g) przyszłość – brak danych dla samodzielności, najlepsze urządzenie się z Polską z zabezpieczeniem każdej narodowości – Polakom, Litwinom, Białorusinom i Żydom – swobodnego rozwoju i usunięcia wszelkiej przewagi jednej narodowości nad drugą, co jest koniecznym wobec ogromnej gmatwaniny stosunków narodowościowych. Takie zadanie muszą sobie stawić socjaliści wszystkich narodowości na Litwie, do tego też dąży i P. P. S. w swej pracy na terenie litewskim i sądzi, że koniecznym jest wobec tak poważnego wroga, który jak w prześladowaniach i prawach wyjątkowych, tak w każdej walce polskiej z caratem łączy Litwę z Polską, najściślejsze połączenie sił socjalistycznych P. P. S. i socjalistów wszystkich narodowości Litwy dla wspólnej walki. Aha, jeszcze gdziekolwiek wstawić należy parę słów o burżuazji i szlachcie polskiej na Litwie, że przechodzi ona te same fazy, co i rdzennie polska, więc tak samo istniała era ugodowa. Oprócz tych wszystkich rzeczy zostawcie i tro-

chę geografji ze statystyką i to, coście napisali o moskalofilstwie Litwinów. Słowem – dział ten ogromnie rozszerzyć trzeba, chociażby kosztem innych działów i wyrzucając względnie mało z tego, coście dali, dodać te wszystkie rzeczy, o których pisałem wyżej. Zostawić również trzeba ustęp, w którym mówicie o litwinofobji niektórych Polaków, to dobrze robi. 2) Maloruś. W tym dziale mamy do zarzucenia rzeczy następujące. Za dużo jest historji literatury maloruskiej – dosyć chyba, mówiąc o ukazach przeciwko literaturze, wspomnieć i o Tarasie Szewcz jako o jednym z objawów prześladowania kacapskiego. Zato kosztem literatury i nawet w części historji należałoby rozszerzyć gadanie i o Rusinach galicyjskich – względna ich swoboda i wytworzenie się tam partji socjalistycznej, będzie ona musiała oddziaływać na braci w zaborze rosyjskim. Wogóle w tym dziale zbyt szczegółowo opowiadacie o różnych kółkach i towarzystwach literackich i archeologicznych, co tylko będzie obciążało pamięć i utrudniało orjentowanie się czytelnikom, którym trzeba dawać więcej szema-



tów i agitacji, niż imion własnych. (Przychodzi mi właśnie na myśl, byście z tych różnych kawałków, niezużytych w broszurze, zrobili jaki artykuł do „Światła” – byłyby to kartki z dziejów Rosji nowożytnej). 3) Łotysze i Estończycy – sprawdziłem obecnie i rzeczywiście widzę, że mniej chyba powiedzieć nie można, niech tak zostaje. Co jest do zmienienia – to opowiadanie o historii początków literatury łotewskiej i estońskiej – te wieczne kółka ludzi, chcących pracować dla ludu, studia językowe i archeologiczne (powtarza się to i w Finlandji) doprawdy są mało rozczulające dla robotnika. Nareszcie 4) Finlandja, zamala jest o terażniejszej groźnej dla nich sytuacji i o walce, jaką oni prowadzą z Moskalami. Jak widzicie, główne zmiany wprowadzamy do Litwy i Bałaj Rusi. Ogół broszury przedstawiam sobie tak. Wstęp – wyjaśnienie polityki kresowej, jej znaczenie dla Rosji i caratu, jej skutki dla narodów podbitych. Następnie wszystkie wymienione działy i nareszcie zakończenie, w którym na zasadzie opowiedzianego uogólnić niektóre szczegóły – politykę rządu divide et

impera, która wszędzie była stosowana, politykę demokratyzmu cesarskiego, również stosowaną wszędzie, przebudzanie się powszechne niezadowolenia i oporu. Potrzeba jej zjednoczenia i wyjaśnienia, że na Polaków przede wszystkim spada obowiązek zainicjowania tego ruchu, jako zarodek tego i zrozumienie tego zadania, przedstawić uchwały Zjazdu a) co do obcych narodowości i b) co do umowy z Rosjanami – ta jej część, w której żądamy od Rosjan uznania praw wszystkich narodowości. (Aha, w początkach zakończenia wspomnieć należy ogólnikowo o Ormianach, Gruzinach i Kaukazie). Nareszcie jeszcze kwestja – to Żydzi, najlepiej bodaj będzie zupełnie opuścić ich – sprawa to drażliwa i można ją załatwić w paru słowach i ogólnikowych dowodzeniach, do których trudno się przyczepić. Sądzymy, że najlepiej będzie wspomnieć o nich w dziale Litwa, wspomnieć w ten sposób, że są uciskani bodaj gorzej od wszystkich i tak samo, jak wszyscy uciskani, powinni szukać ratunku we wspólnej walce z chrześcijanami o swobodę kraju.

Przykro mi niezmiernie, że tyle waszej pra-



*cy pójdzie na marne, szkoda, żeśmy w początkach sobie dokładnie nie uprzytomnili naszych żądań i potrzeb. Rzecz się z konieczności raz jeszcze odwlecze, ale cóż robić, zresztą sprawa ta dotychczas dla nas palącą nie jest – wyjątek może Litwa i Żydzi – więc poczekać można. Już jest ogromnie późno i czuję się zmęczonym, więc wybaczenie, że być może cały list pisany jest trochę chaotycznie. Serdeczne uściśnienie, żonie ukłony.*

*Wasz Wiktor*

W myśl powyższych wskazówek przerobiłem broszurę „We wspólnym jarzmie” i odesłałem ją do kraju do ostatecznej aprobaty C. K. R. Ale jakiś los zawistny widocznie prześladował to dziełko. Skrypt mój bowiem uległ katastrofie, będącej zresztą tylko drobną częścią wielkiej katastrofy partyjnej, jaką stała się głośna „wsypa” łódzkiej drukarni „Robotnika” wraz z towarzyszem „Wikto-rem”...

W końcu lutego 1900 r. do Londynu przybyli niespodziewanie Witold Jodko i Aleksander Sul-  
kiewicz, przywożąc straszną wiadomość o największym ciósie, jaki wówczas spotkał Partję – o

wykryciu przez żandamerję w Łodzi drukarni „Robotnika” i o aresztowaniu w niej towarzysza „Wik-  
tora”. Wiadomość ta oddziałała na nas wszystkich w sposób przygnębiający, zdawaliśmy sobie bo-  
wiem sprawę, jak na dalszych losach P. P. S. mo-  
że odbić się ta katastrofa. Strata drukarni, od-  
tyłu lat bezskutecznie poszukiwanej przez żandar-  
mów rosyjskich, martwiła nas zresztą mniej niż  
wydarzenie z szeregow partyjnych najwybitniejszego  
wodza P. P. S.

Bo, że towarzysz „Wiktor” był najwybitniej-  
szym wodzem ówczesnej P. P. S., o tem nikt w  
partji nie wątpił. Wszyscy, stykający się z nim w  
robocie partyjnej, opinię tę podzielali. Nas, „lon-  
dyńczyków”, utrzymywały w tem przekonaniu o-  
powiadania jego najbliższych, najlepiej go znają-  
cych towarzyszy. Już wówczas był opromieniony  
pewnego rodzaju legendą, a osobiste przywiązanie  
do niego ogółu partyjnego legendę tę szerzyło i  
pogłębiało. To też fakt jego aresztowania dotknął  
wszystkich w większej mierze aniżeli „wsypa” któ-  
regokolwiek innego z towarzyszy. Wszyscy drzeli-  
śmy o jego los i ze strachem myśleliśmy o wyro-  
ku, który mu mógł grozić.

Zwolna poczęły nadchodzić do Londynu wia-



domości o szczegółach aresztowania towarzysza „Wiktora” i o warunkach, w jakich się znalazł w cytadeli po przewiezieniu go tam z więzienia łódzkiego. Dowiedzieliśmy się, że zachowaniem się swoim imponował żandarmom, którzy od razu odczuli w nim „generała”, wprawdzie rewolucyjnego, ale w każdym razie „generała”. Traktowano też go z wielkim szacunkiem i spełniano skwapliwie jego żądania, wypowiedane tonem stanowczym. Pozwolono mu palić, czego się od razu domagał, zapewniono wikt oficerski. Prości żandarmi - szeregowcy bali się go.

P. P. S. miała już wówczas możliwość tajnego komunikowania się z Cytadelą, dzięki intendentowi jej, Siedelnikowowi, to też wiadomości zza jej murów nadchodziły raz poraz. Przyszły wreszcie do Londynu i kartki, pisane w cytadeli przez Piłsudskiego na świstkach czerwonej bibulki, wydartej z pudełek od papierosów. Zawierały one wierszyk, opisujący najście żandarmów na drukarnię, a świadczący o pogodzie ducha jego autora, oraz dokładny opis całej katastrofy.

Największych konspiratorów po „wsypie” przestała obowiązywać konspiracja wobec działalności towarzysza „Wiktora” – tem bardziej, że, jak by-

ło wiadomo, przyznał się on po aresztowaniu do własnego nazwiska i że przed żandarmami nie ukrył się jego kilkoletni nielegalny pobyt w kraju. Poczęto więc opowiadać sobie poufnie rozmaite szczegóły z jego działalności, podnosić cechy jego charakteru – i legenda rosła.

Niepokój powszechny budziła niepewność, o co się towarzysza „Wiktora” oskarża. Niebawem dowiedzieliśmy się, że wytoczono mu cztery sprawy: zagraniczną, kowieńską z roku 1895, będzińską i łódzko-warszawską. Nie ulegało więc wątpliwości, że towarzyszowi „Wiktorowi” groziła – po dłuższym więzieniu śledczym – wysyłka do „najdalszych miejscowości Syberji” – na Jakuty na lat od 5 do 10-ciu. Później nadeszły pogłoski, że żandarmerja usiłuje związać działalność Piłsudskiego z zabiciem w Częstochowie szpiega Szancenberga, co groziłoby towarzyszowi „Wiktorowi” surowszą karą – jeśli nie stryckiem, to Szlisselburgiem. Dopiero kiedy bezpośredni uczestnicy tego zamachu wraz z uczestnikami innego – na szpiega Mazura w pow. będzińskim – zostali oddani pod sąd wojenny, który skazał ich (7-ju) na śmierć, zamienioną im przez cara na wieloletnią katorgę, zrozumieliśmy, że niebezpieczeństwo,



grożące życiu towarzysza „Wiktora”, minęło.

Tymczasem doszły nas wiadomości, że towarzysz „Wiktor” począł w Cytadeli symulować ośląkanie: odmawiał przyjmowania przynoszonych mu przez żandarmów pokarmów, domagał się usunięcia mu z przed oczu ludzi w mundurach żandarmskich i t. d. Dowiedzieliśmy się też niebawem, że go wywieziono do Petersburga, dla zbadania stanu zdrowia, i umieszczono w szpitalu „Nikołaja Czudotworca”. Nie chciano go przenosić pod obserwację lekarzy do Tworek, widocznie obawiając się jego ucieczki stamtąd. Petersburg wydawał się pewniejszym.

Pech chciał, że rękopis mojej broszury „We wspólnym jarzmie” już w postaci ostatecznej, przerobiony na podstawie wskazówek towarzysza „Wiktora”, wyspał się w tajnej drukarni „Robotnika”. Musiałem więc jeszcze raz zabrać się do jej napisania, bruljonu bowiem nie posiadałem. Wpadnięcie mojej broszury miało i tę jeszcze złą stronę, że dawało w ręce żandarmów próbkę mego pisma. Ponieważ zaś pisywałem wówczas dość dużo do warszawskiej prasy legalnej, przeto zidentyfikowanie autora nielegalnej broszury ze współpracownikiem pism legalnych mogło mocno za-

szkodzić tym ostatnim. Ale jakoś nic się nie wykryło, i „wsypa” ta nie pociągnęła za sobą żadnych konsekwencji, poza moją dodatkową pracą.

Pewnego pięknego dnia w drugiej połowie maja 1901 r. przysłała do Londynu wiadomość o romantycznej ucieczce towarzysza „Wiktora” ze szpitala petersburskiego. Radość, jaka nas wszystkich opanowała, niemal przewyższała swą siłą to przygnębiecie, w jakie wpadliśmy byli na wiadomość o jego aresztowaniu w Łodzi. My w Londynie wiedzieliśmy, że – wbrew puszczanym przez nas samych wieściom – znajduje się on wprawdzie na wolności, ale jeszcze w granicach państwa carów. To też każdy z nas drżał z niepokoju, zanim w drugiej połowie czerwca nie przysłała wieść, że już znajduje się w Galicji, we Lwowie, a więc że mu już nie grozi niebezpieczeństwo ponownego aresztowania przez władze rosyjskie.

Wówczas to powstała legenda, że towarzysz „Wiktor” z właściwym sobie litewskim uporem postanowił pozostać w kraju, zredagować tam kolejny numer „Robotnika” i dopiero wówczas wyjechać zagranicę. Wogóle dokoła jego ucieczki



petersburskiej poczęły się tworzyć legendy – i to nie tylko wśród Polaków. Tak np. spotkałem się u znanego bibliofila londyńskiego, Woynicza, z wybitnym rosyjskim historykiem literatury, S. Wien-gierowym, który wyjechał z Petersburga wkrótce po ucieczce Piłsudskiego i mówił mi o tem nadzwyczajnem wrażeniu, jakie w kołach rosyjskich ta ucieczka wywarła. Wyjechał – opowiadano sobie – okrętem szwedzkim do Sztokholmu, gdzie na jego cześć król szwedzki (!) pono wydał wielki bankiet. Co się tyczy samego Piłsudskiego, to jest to „woobszce łowkacz nieobykowniennyj” (wogóle zuch niepospolity).

Z niecierpliwością oczekiwaliśmy w Londynie na przyjazd towarzysza „Wiktora”, który wraz ze swą żoną wybierał się do nas na nieco dłuższy pobyt, gdyż niewiadomo jeszcze było, jak zareaguje rząd rosyjski na jego ucieczkę, i jakie stanowisko zajmą wobec niego władze austriackie w Galicji. Londyn i wogóle Anglja z jej nienaruszalnym prawem azylu były natomiast czemś zupełnie pewnem.

Tymczasem upłynęło parę tygodni, a towarzysz „Wiktor” do Londynu wciąż jeszcze nie przyjeź-

dzał i nawet odłożył ten przyjazd na czas nieokreślony. Pisał bowiem 15 lipca 1901 r., że z powodu osłabienia fizycznego i duchowego, które jeszcze odczuwał po wszystkich tarapatach, przeżytych w ciągu ostatniego roku, pragnął lato spędzić gdzieś w Szwajcarji i do Londynu przyjechać dopiero po wakacjach. W tym samym liście zwierzył się poufnie Jędrzejowskiemu, że nie ma zamiaru siedzieć w Londynie dłużej: pragnie jaknajprędzej powrócić do „kontynuowania swej kariery” – t. j. do roboty nielegalnej w kraju, o czem już, jak komunikował, rozmówił się z Sul-kiewiczem.

Zamiar wyjazdu do Szwajcarji na dłuższy tam pobyt nie doszedł jednak do skutku. Towarzysz „Wiktor” przeniósł się do Zakopanego, gdyż lekarze zalecili mu pobyt w górach, i w ten sposób przyjazd jego do Londynu odwłókł się aż do końca listopada 1901 roku. Jechał na Katowice i Poznań.

Wówczas Związek Zagraniczny Socjalistów Polskich (Z. Z. S. P.) był już przekształcony na Oddział Zagraniczny P. P. S., zaś Centralizacja Z. S. S. P. przeobrażona na Komitet Zagraniczny P. P. S. Byłem członkiem tego ostatniego, mia-



nowanym przez „kraj”, jednocześnie zaś w dalszym ciągu redaktorem „Przedświtu” – teraz już organu P.P.S., gdy tow. Baj-Jędrzejowski spełniał funkcję sekretarza Komitetu Zagranicznego P. P. S.

W radosnem oczekiwaniu wyglądaliśmy z Bajem i Tytusem Filipowiczem pociągu, który miał przywieźć na jedną ze stacyj londyńskich naszych drogich gości – towarzysza „Wiktora” i „Piękną Panią” – jego żonę. Kiedy się wreszcie ukazali naszym oczom, stwierdziliśmy wszyscy, że towarzysz „Wiktor” wygląda daleko lepiej, niż przed arestowaniem. Na jego twarzy nie znać było cechującego ją uprzednio zmęczenia. Dowiedzieliśmy się też niebawem, że w więzieniu wyzbył się zupełnie dolegliwości nóg, pochodzącej pono z ustawicznych jazd koleją, a utrudniającej mu dłuższe chodzenie. Jednem słowem, wracał do życia na wolności w lepszym zdrowiu, aniżeli je posiadał przed uwięzieniem.

Przez czas jakiś (w grudniu 1901 r.) towarzysz „Wiktor” wraz z żoną gościli w Southbourne on Sea, w miejscowości nadmorskiej, gdzie Stanisław Wojciechowski przebywał wówczas jako kierow-

nik drukarni rosyjskiej kolonji tołstojowców, którzy pod kierownictwem Czertkowa zajęci byli wydawaniem zakazanych w Rosji dzieł wielkiego pisarza L. Tołstoja.



„Z I U K”



Towarzysz „Wiktor”, a raczej „Ziuk”, (zdrob-  
niałe od kresowego Józik – Józef), jak go po-  
częliśmy teraz wszyscy nazywać za przykładem  
jego żony i jak go zawsze nazywano w rodzinie,  
w Londynie tym razem odpoczywał. Do spraw  
codziennego życia partyjnego nie wtrącał się pra-  
wie zupełnie, do żadnego z organów prasy emi-  
gracyjnej nie pisywał, raz tylko przez cały czas  
swego pobytu w Londynie wygłosił odczyt w klu-  
bie robotniczym P. P. S. – na temat powstania  
listopadowego – i raz tylko wystąpił publicznie  
na zebraniu dyskusyjnym, urządzonym przez „bun-  
dowców”, gdzie przemawiał po rosyjsku, zazna-  
czając na wstępie: „ja etowo proklatawo jazyka  
nie zabył” (nie zapomniałem tego przekłętego je-  
zyka). Notabene „Ziuk” bardzo lubił przeplatać  
rozmowę najrozmaitszemi charakterystycznymi po-  
wiedzeniami i zwrotami, w które obfituje język  
rosyjski. Przyzwyczajenie to pozostało mu naza-  
wsze zapewne z czasów pobytu na zesłaniu sybe-  
ryjskim.



W listach też wszelkie cytaty i nawet pojedyncze wyrazy rosyjskie podawał zawsze literami rosyjskimi – grażdanką.

Co do odczytu na temat powstania listopadowego, to forma jego była dość niedołężna. Ustawiczne powtarzanie – i to kilkakrotne – poszczególnych wyrazów i zdań działało na słuchaczy denerwująco. Nikt wówczas zapewne nie przypuszczał, że Piłsudski czasem zostanie wybitnym i wspaniałym mówcą. Życie konspiracyjne zaboru rosyjskiego, wykluczające publiczne występy krasomówcze, zupełnie nie dawało pola, na którym mówcy mogliby się wyrabiać. To też najbardziej płytki i mało inteligentny mówca – Galicjanin – często zapędzał w kozį róg polemizującego z nim Królewiaka lub, zwłaszcza, kresowca, dziesięciokrotnie od niego mędrszego.

W pogadankach towarzyskich natomiast „Ziuk” był niezrównany. Mówił oświetnie i dużo, przeważnie o życiu na zesłaniu w Tunce, w sposób plastyczny charakteryzując stosunki i ludzi. Opowiadaniem tem mógł utrzymać w napięciu uwagę słuchaczy całemi godzinami.

Z jego poszczególnych wypowiedzi się ujawniała się głęboka niechęć do Rosji, będąca jed-

nym z zasadniczych rysów jego, że tak powiem, światopoglądu politycznego. I nie chodziło tu o Rosję urzędową, carską, której nienawidził, jak i my wszyscy, całą siłą duszy. Nie lubił też literatury rosyjskiej, która wśród wielu rewolucjonistów polskich posiadała entuzjastycznych zwolenników. Poszczególne cechy charakteru rosyjskiego uspasabiały go krytycznie. Rosyjska bierność zwłaszcza budziła w nim odrazę. Pamiętam, jak opowiadał raz o jakimś słynnym rozbójniku syberyjskim, który steroryzował olbrzymią połać kraju i grasował bezkarnie skutkiem owej bierności mas. Pewnego razu zbój ów został otoczony przez tłum w jakimś budynku tak, że zdawało się, iż nic go już nie uratuje. Nagle zjawia się na ganku, bezbronny, i krzyczy:

– Dorogu!

Duży tłum rozstępuje się na obie strony, i zbój przechodzi wśród dwóch zwartych szeregów ludzi z których żaden nie ośmiela się go zatrzymać.

Znowuż kiedyś Ziuk opowiadał z oburzeniem o jakimś feljtonie wybitnego pisarza rosyjskiego, Włodzimierza Korolenki w dzienniku „Russkija Wiedemosti”. Korolenko pisał w nim o stosunku chłopów do leśniczego Polaka, który nie do-



puszczał do kradzieży leśnych w swoim rewirze gdzieś nad Wołgą czy na Uralu. Oburzenie Ziuka wywoływał stosunek Korolenki do owego leśniczego, „Kazimiruszki” (jak go nazywali chłopci), zupełnie identyczny z poglądem chłopów, którzy „Kazimiruskę”, spełniającego sumiennie swoje obowiązki, traktowali jako krzywdziciela bez serca.

Zapamiętałem jeszcze jedno opowiadanie Ziuka na temat stosunków rosyjskich. Ziuk jechał z Warszawy do Petersburga z bibułą. W Oranach do tegoż samego przedziału, w którym już znajdował się jakiś oficer gwardji, weszło jeszcze dwóch oficerów. Gwardzista ucieszył się, że nareszcie ma przed sobą, zamiast drzemiącego cywila, kolegów rosyjskich, z którymi można było pogawędzić. Jako stale przebywającego w Petersburgu, gwardzistę bardzo dziwiło to, co słyszał w ciągu parudniowej wycieczki do Warszawy. Zdumiewało go stanowisko wobec oficerów miejscowego społeczeństwa jak również i brutalne zachowywanie się samych oficerów. Otwarcie przyznawał, że było to dla niego niespodzianką, i rozpytywał nowych towarzyszy podróży o miejscowe stosunki. Ci zupełnie otwarcie informowali go

o nich, stwierdzając, że się w Petersburgu nic o tem nie wie. W końcu jeden z oficerów jął opowiadać, jak „utwierdza prawosławie” w swym pułku. W pułku tym – poza paru protestantami-Łotyszami, – byli sami „prawosławni” – ale tylko na papierze, w rzeczywistości zaś albo „oporni”, albo nawet bałwochwalczy (Wotiacy i inni). Ci ostatni wprawdzie chodzą do cerkwi, żegnają się i t. d., ale ukradkiem modlą się do zmagstrowanych przez siebie ze szmatek i patyków bożków. Otóż łapie się ich na gorącym uczynku wówczas, kiedy są „dniewalnymi” (dyżurnymi). Odbiera się im bożki, bije się po pysku i już. Ale najgorzej jest z unitami podczas Wielkiego Postu. Są urzędownie prawosławni, więc muszą spowiadać się i komunikować u popa. Jednakże nie chcą tego czynić pod żadnym pozorem, bo się uważają za katolików. A odpowiedzialność za to ponosi nie kto inny jak oficer, komenderujący rotą. Otóż oficer, opowiadający to gwardziście z Petersburga, chwalił się, że w jego rocie niema tych nieporządków, bo u niego wszyscy unicy przystępują do komunji prawosławnej. A dzieje się to dla tego, że im wytłumaczył, iż nie potrzebują przelykać komunji. Byleby ją do ust brali, a odszedłszy od



popa, mogą z nią co chcą zrobić. Gwardzistę ogarnęło przerażenie...

Charakterystycznym przyczynkiem do ustosunkowania się Ziuka wobec Rosji było opowiadanie Szkłowskiego (Dioneo), znakomitego publicyisty rosyjskiego, korespondenta dziennika „Russkija Wiedomosti”, który bawił w tym czasie w Londynie i przyjechał do nas, aby się zobaczyć z Ziukiem. Szkłowski przebywał razem z Piłsudskim na wygnaniu w Tunce. Razem też powracali z zesłania do kraju. W Moskwie Piłsudski, mając sporo czasu na zwiedzenie tego miasta między jednym a drugim pociągiem, nie opuścił dworca kolejowego, manifestując w ten sposób swoją pogardę dla dawnej stolicy Rosji.

Ziuk zawsze podkreślał wszystkie różnice, jakie cechowały ruch polski w porównaniu z rosyjskim, i przeciwstawiał je wzajemnie. Dotyczyło to nawet drobiazgów. Tak np., kiedy Szkłowski w rozmowie z nim użył na oznaczenie drukarni „Robotnika” wyrażenia, utartego w języku rosyjskim w stosunku do drukarni nielegalnych, „podpolnaja tipografja”, Ziuk oburzył się na to, mówiąc:

– Razwie ona pod połom? (Czyż mieści się pod podłogą?)

Ziuk często z obrzydzeniem mówił o tych szynkanach, na jakie bywali narażeni Żydzi, jeżdżący kolejami, ze strony publiczności rosyjskiej, uważając, że u nas jest to zupełnie niemożliwe.

Pomimo ostrości zatargów między P. P. S. a „Bundem”, zajmującym wówczas centralistyczno-rosyjskie i, że tak powiem, esdeckie stanowisko w sprawie niepodległości Polski, pamięć o dawnych dyskusjach z socjalistami żydowskimi na gruncie wileńskim nie musiała być dla Ziuka zbyt przykra. Byłem bowiem świadkiem bardzo przyjacielskiej rozmowy między nim a wybitnym leaderem „Bundu” – Kremerem, świeżo wydalonym z Genewy i osiadłym na emigracji w Londynie. Kremer, dowiedziawszy się o pobycie Ziuka w Londynie, odwiedził go zaraz po swoim przyjeździe.

Wypoczynkowy pobyt Ziuka w Londynie nie trwał długo. Jego czynna natura nie znosiła warunków życia miejscowej dość licznej kolonii socjalistycznej, zamkniętej w obrębie monotonicznych zajęć codziennych – biurowo-drukarnianych, przerywanych zebraniem w klubie robotniczym P. P. S., położonym dość daleko od siedziby Komitetu Zagranicznego w Leytonstone, „na Ling-



woodzie" (nazwa zajmowanego przezeń domu), gdzie oboje Piłsudscy zajmowali mały pokój obok kancelarii Baja (Jędrzejowskiego). Późtem nie przestawały Ziuka trapić sprawy „krajowe”. Wprawdzie po aresztowaniu jego w Łodzi, partja, dotknięta ciężką stratą drukarni i aresztowaniami, które w tym czasie zagarnęły kilku towarzyszy z kół kierowniczych, nie uległa tym ciosom. Organizacja została odbudowana i wzmocniona, do roboty wciągnięto nowych ludzi, a Stanisław Wojciechowski, dojeżdżając od czasu do czasu do zaboru rosyjskiego, walczył przyczyniając się do uporządkowania ruchu. Wojciechowski powziął nawet postanowienie – już podczas pobytu Ziuka w Londynie – osiąść (wraz z żoną) znowuż na stałe w kraju jako „nielegalny”. Jednakże realizacji tego postanowienia stała na przeszkodzie choroba pani Wojciechowskiej, i mąż jej wkońcu oświadczył stanowczo, że do kraju pojechać nie jest teraz w stanie.

Ta ostatnia okoliczność zdecydowała o opuszczeniu Londynu przez Ziuka. Dnia 9-go kwietnia 1902 r. Ziuk pisze do Wojciechowskiego, że postanowił udać się do zaboru rosyjskiego na 2-3 miesiące, 16 kwietnia był już w Krakowie, skąd

z tegoż miesiąca wyruszył przez Lwów do Kijowa, gdzie wówczas znajdowała się tajna drukarnia „Robotnika”, redagowanego przez Feliksa Perla.

Ze ściśniętymi sercami zegnaliśmy w Londynie Ziuka, powracającego do kraju, o czym wiedziało zaledwie paru najbardziej wtajemniczonych członków organizacji. Ocenialiśmy bowiem ryzyko, z jakim był połączony pobyt jego w kraju, i wiedzieliśmy, co by mu groziło na wypadek ponownego aresztowania. Napewno jużby go się z rąk żandarmskich nie udało wyrwać. To też każdy list z kraju, świadczący o tem, że Ziuk szczęśliwie unika grożących mu niebezpieczeństw, dodawał nam otuchy, tem bardziej, że wiedzieliśmy, iż czas coraz bardziej skraca jego trwanie na tym posterunku, bo zbliżał się termin, zgóry przez Ziuka ustalony.

Z listów krajowych dowiadaliśmy się o jego działalności, mającej przedewszystkiem za zadanie uporządkowanie stosunków organizacyjnych rozrastającej się partji. W ciągu prawie 2-ech miesięcy nielegalnego pobytu w zaborze rosyjskim Ziuk zapoznał się dokładnie ze stanem rzeczy i zorganizował VI. Zjazd P. P. S. w czerwcu w Lu-



blinie. Na zjeździe tym nastąpiła reorganizacja ciała kierowniczego P. P. S. na nowych podstawach przez wybór do Centralnego Komitetu Robotniczego przedstawicieli wszystkich okręgów i działów pracy oraz ustanowienie Komisji Wykonawczej C. K. R. z trzech osób, do której wszedł i Ziuk.

Przed samym zjazdem Ziuk pisze do Londynu: „za 2-3 tygodnie będę frei” i zawiadamia, że wraca do Galicji, gdzie chce osiedlić się na stałe, gdyż stamtąd może łatwo komunikować się z zaborem rosyjskim i doń dojeżdżać w razie potrzeby. Istotnie już w końcu czerwca jest w Krakowie, skąd na całe lato wyjeżdża na Podhale.

W listach, pisanych w tym czasie do Londynu, zwierza się z wrażeń, wyniesionych z kraju, i dużo mówi o potrzebie i konieczności wyprowadzenia ruchu na nieco odmienne tory. Ożywienie polityczne, jakie się dawało dostrzegać w tym czasie w całym państwie rosyjskim, wskazywało na to, że dotychczasowe metody działalności P. P. S. już nie wystarczają. To, czem P. P. S. w ciągu lat uprzednich tak imponowała wszystkim żywiłom rewolucyjnym, mianowicie sprężystość organizacyjna i wspinała technika, już stosowane było

i przez inne organizacje. Narodowa Demokracja w Królestwie i Galicji oddziaływała na coraz szersze koła inteligencji polskiej. Partja również pozyskiwała licznych nowych zwolenników z tej sfery, którzy zwracali się do niej po wskazówki, jednakże dotychczasowe, czysto robotnicze nastawienie partji ich nie mogło zadowolnić. Trzeba więc było pomyśleć o zaradzeniu temu. Wreszcie Galicja stawała się podstawą operacyjną dla rozmaitych grup, działających w zaborze rosyjskim, gdy tymczasem myśmy w Londynie byli coraz bardziej odcięci od kraju. Ziuk pisał więc o konieczności stworzenia wydawnictw dla inteligencji, o wyzyskiwaniu nowych możliwości, wysuwających się przed partją, i specjalny nacisk kładł na konieczność przeniesienia bodaj części „Londynu” do Galicji.

Powoli i w Londynie dojrzewiała myśl stopniowego zlikwidowania tamtejszej placówki emigracyjnej i przeniesienia jej zaraz ze wszystkimi agendami do Galicji. Tam bowiem stosunki ułożyły się już w ten sposób, że można było liczyć na pewną tolerancję władz austriackich wobec emigrantów z zaboru rosyjskiego. Był to skutek ro-



snącego wpływu socjalistów polskich w Galicji z Daszyńskim na czele i wogóle czynników socjalistycznych w Austrii, któreby nie tolerowały gwałcenia prawa azylu.

Na początku roku 1903 przeniosłem się wraz z redagowanym przez siebie „Przedświtem” do Krakowa, konspirując się oczywiście ze swą właściwą rolą wobec władz miejscowych. W Krakowie znowuż spotkałem się z Ziukiem, który był najgorętszym zwolennikiem przeniesienia naszych agend londyńskich do Galicji, uważając to za konieczność praktyczną. Brał on udział w życiu miejscowej, ściśle zakonspirowanej, sekcji Oddziału Zagranicznego P. P. S., dość podówczas licznej i skupiającej w swem łonie garść wybitniejszych emigrantów z zaboru rosyjskiego. Między innymi byli tam Leon Falski i Józef Ciągliński – zesłańcy syberyjscy, Józef Kwiatek, Tadeusz Gałęcki, który właśnie rozpoczynał swą karierę literacką jako Andrzej Strug, dr. Władysław Gumpłowicz i kilku młodszych towarzyszy, studjujących na wszechnicy Jagiellońskiej.

Całe to towarzystwo było dość opozycyjnie usposobione wobec kierownictwa P. P. S. i dawało nieraz ostry wyraz swym krytycznym poglądom

na rozmaite objawy działalności partyjnej. Krytyka ta, jakkolwiek wypływała z najlepszej woli, przeważnie nie była słuszna, gdyż zwykle nie liczyła się z faktycznymi możliwościami pracy krajowej. Stąd wysuwane przez członków sekcji krakowskiej zarzuty pod adresem ciała kierowniczego Partji wywoływały irytację Ziuka, który najczęściej musiał na nie odpowiadać jako uznany i najbardziej autorytatywny przedstawiciel tego ciała. Pamiętam, jak kiedyś użalał się na wysunięty na posiedzeniu sekcji krakowskiej zarzut jednego z jej członków, że Partja nie zareagowała na jakiś wypadek, który – jego zdaniem – takiego zareagowania koniecznie wymagał. Argument Ziuka, że nie było na podorędziu drukarenki, w którejby można było wydrukować pożądaną odezwę, nie znalazł uznania u oponenta, który ze złośliwą ironją powtarzał: „drukarenki nie było!”, uważając tę okoliczność za karygodne niedbalstwo partji.

Opowiadając o tem, Ziuk mówił:

– Wprost musiałem się powstrzymywać, aby mu nie dać w pysk.

Zapamiętałem ten drobny epizod jako coś niezwykle odbiegającego od tej pobłażliwości, z jaką



Ziuk stale traktował rozmaite wystąpienia opozycyjne. W wydawaniu opinii o ludziach był bowiem niezwykle powściągliwy i nie pozwalał sobie nigdy na wyrazy surowego potępienia, których inni towarzysze nie szczędzili niesłusznym zarzutom opozycjonistów. Wobec otoczenia zawsze występował w nastroju pogodnym, śmiał się i żartował przy każdej sposobności i nikt go nie widywał zatroskanym, jakkolwiek sytuacja dużo trosk wywoływała. Rozmów czysto teoretycznych unikał, nie lubił używać w dyskusji utartych metod argumentacji, przyjętych w obozie socjalistycznym (między innymi tego, co nazywał „żargonem socjalistycznym”) i, polemizując, nieraz ostro, nie cofał się przed ironją i nawet kpinami, ale nigdy wówczas nie pozwalał sobie na coś ubliżającego komuś lub dotykającego kogoś osobiście. Cechowały go pod tym względem umiar i rezerwa.

Stykając się z nowymi ludźmi, bardzo chętnie i szczegółowo wypytywał ich o stosunki, sobie nieznane, i odrazu zdobywał sobie ich serca. Lubiał żarty i „kawały”, ale nigdy nie słyszałem z ust jego jakiegoś wyrazu trywjalnego, nie mówiąc już o nieprzyzwoitych. Brzydził się nimi najwidocz-

niej. Ciekawe też, że nikt w jego obecności nie ważył się używać takich wyrazów.

Autorytet Ziuka cieszył się w kołach partyjnych najpowszechniejszym uznaniem, połączone często z sentymentem, jaki mieli wobec niego towarzysze nie tylko z powodu jego zasług i legendy, która go już wówczas opromieniała jako działacza, ale i ze względu na jego ujmujący charakter. Nawet skrajni opozycjoniści dbali ogromnie o dobry z nim stosunek i nawet oń zabiegali.

Pamiętam jak starszy już działacz, jeden z założycieli P. P. S., były więzień i zesłaniec syberyjski, Leon Falski, był zmartwiony, kiedy raz Ziuk w rozmowie żartobliwej, toczonej w pensjonacie p. Kaplińskiej w Krakowie, przy ulicy Szpitalnej, gdzieśmy się stołowali, użył zwrotu „pan”, zamiast powszechnie będącego u nas w użyciu „wy”. Tak był tem dotknięty, że po naradzie z towarzyszami zwrócił się do Ziuka o wyjaśnienie – za co jest na niego obrażony, że aż przeszedł wobec niego na „pan”. I dopiero kiedy Ziuk stanowczo go zapewnił, że, używając zwrotu „pan”, ani myślał zaznaczać w ten sposób zmiany swego stosunku do niego, uspokoił się.

Ziuk w owym czasie, poprzedzającym nadcho-



dzące wypadki wielkiej doniosłości, związane z wojną japońsko-rosyjską i wynikiem z jej skutków wrzeniem rewolucyjnym w Rosji, trapił się mocno niedopasowaniem organizacji partyjnej i środków jej oddziaływania na zewnątrz – do zmiennej sytuacji P. P. S., która uprzednio wysunęła się była pod każdym względem na czoło wszystkich istniejących podówczas w całym państwie rosyjskim grup antyrządowych. Jej technika wydawnicza i transportowa, jej formy organizacyjne i wpływy były w obozie rewolucyjnym przez czas dłuższy czemś zgoła wyjątkowem i budzącem powszechny podziw. Tymczasem powstałe po niej i działające obok niej organizacje poczęły stopniowo dorównywać jej pod tym względem. Odrodził się ruch rosyjski, płynący dwoma wartkami strumieniami – partji socjalistów-rewolucjonistów i socjalnej demokracji. Żydowski „Bund” rozwijał gorączkową działalność, konkurując swą techniką z P. P. S. Odrodziła się znów po latach nieistnienia Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy, zwalczająca z całym fanatyzmem ideę niepodległości Polski. Na poszczególnych „kresach” Rosji budziły się narodowo-socjalistyczne ruchy rewolucyjne Narodowa Demokracja –

wówczas jeszcze antyrosyjska – uzyskiwała coraz szerszy wpływ na społeczeństwo polskie we wszystkich trzech zaborach. Wobec tego wszystkiego Ziuk poszukiwał dla Partji nowych dróg rozwoju, któreby jej zapewniły powodzenie w walce konkurencyjnej i pozwoliły zachować stanowisko przewodnie w ruchu antyrosyjskim w Polsce.

Jedno z wyjść widział w zerwaniu z dotychczasowem zaklepieniem działalności Partji w szczytych ramach własnej organizacji i dążył do rozszerzenia jej wpływów na szersze koła społeczeństwa. Krytykował między innem zachowanie się pps-owców emigrantów z zaboru rosyjskiego, którzy „smażyli się we własnym sosie” i nawet nie umieli w należytej mierze wyzyskać swego wpływu na towarzyszy galicyjskich, nie mówiąc już o szerszych kołach społeczeństwa miejscowego. Uważając za jeden z najlepszych sposobów wyjścia z izolacji rozwinięcie działalności wydawniczej, obliczonej na wpływ na inteligencję, parł do jak najszybszego zorganizowania specjalnej spółki wydawniczej, która by się tem zajęła. Pod jego naciskiem sprowadzony z Londynu Baj-Jędrzejowski osiadł we Lwowie i wstąpił na praktykę



w firmie księgarskiej Altenberga, poczem objął dyрекcję spółki nakładowej „Książka”, która z czasem, dzięki jego niepospolitemu kierownictwu, zdobyła sobie tak chlubną kartę w dziejach kultury polskiej doby przedwojennej.

Usiłowania Ziuka w kierunku bezpośredniego rozszerzenia wpływów emigracji pps-owej na społeczeństwo galicyjskie nie dały poważniejszych wyników. Bądź co bądź jednak uzyskał on duży wpływ na Ignacego Daszyńskiego (zwanego przez żartobliwie „primadonną”), skutkiem czego mógł pośrednio wpływać i na innych leaderów galicyjskiego ruchu socjalistycznego, w owych czasach jeszcze nie skonsolidowanego ostatecznie pod względem ideowym z P. P. S. zaboru rosyjskiego. Istniały w nim pewne wpływy esdeckie, do tępienia których przystąpiliśmy niezwłocznie, poparci całym olbrzymim autorytetem Daszyńskiego. W ten sposób przynajmniej w dostępnym nam, socjalistycznym, odłamie społeczeństwa galicyjskiego wpływy esdeckie zostały w dość krótkim czasie złamane ostatecznie. Jakkolwiek pomoc Daszyńskiego, zdecydowanego niepodległościowca, odegrała tu rolę rozstrzygającą, jednak-

że i Ziuk wpływem swym ewolucję tę znacznie przyspieszył.

Przebywając w Galicji i tu posiadając swe *pied à terre*, Ziuk dość często wyjeżdżał do zaboru rosyjskiego, oczywiście nielegalnie. Parę razy wyjechał tam z Czatkowic, pod Krzeszowicami, gdzie przebywaliśmy na letnim mieszkaniu. W Czatkowicach, u nas, spotykał się z „Comberem” – Józefem Dąbrowskim (znanym później pisarzem-historykiem Grabcem), który, mieszkając w Zagłębiu Dąbrowskim, prowadził robotę partyjną w Zawierciu i stykał się z inteligencją zagłębiowską, sympatyzującą z P. P. S. Ziuk toczył z nim długie rozmowy, starając się go inspirować w odpowiednim duchu i poskramiać jego pewnego rodzaju niesforność ideową. „Comber” bowiem już wtedy objawiał pewne skłonności w kierunku oportunistycznego „lewicowego”, skłaniającego się ku postulatowi „autonomji” jako „łatwiejszej do zdobycia w danych warunkach”. Chodziło więc o to, aby nie szerzył tych poglądów w środowisku, na które mógł wpływać.

W tym okresie stykałem się z Ziukiem bardzo często. Prowadząc w „Naprzodzie” dział korespondencyj z zaboru rosyjskiego – na podstawie



coraz liczniej napływających stamtąd materiałów, otrzymywałem od Ziuka liczne informacje i instrukcje, które w tych korespondencjach użytkowywałem.

Informowałem go o sytuacji i nastrojach wśród towarzyszy z sekcji krakowskiej i prawie zawsze, ilekroć mówiłem o konieczności reagowania na jakąś popełnioną przez nich niewłaściwość, spotykałem się z niezrozumiałą dla mnie pobłażliwością. Moje skargi i propozycje zbywał zwykle krótkimi uwagami: „a niech ich tam!” lub „Dajcie spokój – niech sobie robią!” Nie uważałem tego za słuszne, ale ulegałem autorytetowi CKR-owca. Później stwierdziłem, że ta pobłażliwość dała wyniki ujemne i w pewnej mierze przyczyniła się do skonsolidowania się w partji prądu t. zw. „lewicowego”. Na mnie ta pobłażliwość robiła czasem przykre wrażenie i byłem mocno niezadowolony z tego, że „Ziuk” nie używa całego swego autorytetu na zwalczanie tych tendencji, sprzecznych z programem partyjnym.

Tymczasem wielkimi krokami zbliżały się doniosłe wypadki na bliskim i dalekim Wschodzie. Odczuwało się narastanie nastrojów opozycyjnych w społeczeństwie zaboru rosyjskiego. Echa wyda-

rzeń na „kresach” państwa rosyjskiego (w Finlandji, na Łotwie, na Ukrainie) budziły nadzieję na możliwość poważnych zmian w Rosji, gdzie rósł i pogłębiał się ruch socjalistyczny. W związku z tem wszystkim do P. P. S. napływały coraz liczniej młode żywioły rewolucyjne i opanowywanie ich przez istniejącą organizację partyjną stawało się coraz trudniejszym. Troska o odegranie przez P. P. S. odpowiedniej, czołowej roli w nadchodzących wypadkach ani na chwilę nie opuszczała Ziuka, który był „partyjnikiem” w całym znaczeniu tego słowa i wierzył, że tylko P. P. S. potrafi stanąć w odpowiednim momencie na wysokości zadania.

Wybuch wojny rosyjsko-japońskiej niezmiernie rozszerzał pole działalności partyjnej i tworzył rozległe widoki powodzenia jej zabiegów w różnych kierunkach. Ziuk żywo zakrzętnął się koło dopasowywania P. P. S. do jej nowych zadań. Uważając za niezmiernie ważne, aby społeczeństwo zaboru rosyjskiego od nas przede wszystkim dowiadywało się o przebiegu wypadków tak na froncie wojennym, jak i w kraju, zainicjował przekształcenie wydawanego przez P. P. S. od kwietnia 1901 „Kurjerka Zakordonowego i Za-



granicznego" na biuletyn tygodniowy, któryby był składany w Galicji i odbijany sposobem litograficznym w zaborze rosyjskim, co wymagało stworzenia specjalnej techniki.

Pomysł był dobry, ale wykonanie nie dopisało, a rozpowszechnianie niezbyt udanych odbitek miało takie braki, że wkrótce musieliśmy zaprzestać tej imprezy, ograniczając się do coraz większej ilości odezw, puszcanych przy lada sposobności, później zaś do mnożenia liczby pisemek lokalnych, które powstawały we wszystkich ośrodkach organizacyjnych P. P. S. w Królestwie i na Litwie.

W lutym 1904 r. otrzymałem list Ziuka z Warszawy, w którym pisał:

„Kochani!

*Będziecie teraz częściej otrzymywali korespondencje i wiadomości, uporalem się z tem. Nastrój tutaj bardzo poważny, nakładający na nas specjalne obowiązki. Musimy nagwałt mobilizować sztab i podoficerów ruchu. Musimy robić wojowniczą minę, to teraz jedyny sposób wypłynięcia na wierzch przy tem podnieceniu umysłów z powodu wojny. N. D. postanowili siedzieć cicho, s. d. stracą zupełnie wpływy, więc my pozostajemy*

*jedni. Odezwa za parę dni będzie. Treść jej taka, że nawołuje do uporządkowania organizacji i trzymania się w pogotowiu jak dlatego, by powstrzymać w razie czego ruch, tak dla tego, by popchnąć. Boimy się mobilizacji i okresu 1 maja, bo może być awantura bardzo i bardzo gruba. Urządziłem tu ogromną akcję w celu zrobienia opinii o groźnym stanie rzeczy i konieczności ratowania narazie sytuacji przez porządną zmobilizowaną organizację, która weźmie jako tako w łapy podniecone i rozgorączkowane w kierunku otwartej walki umysły. Impo- nuje to grubo i zdaje się będzie z tego po- ciecha monetarna gruba. Pieniądze wyszłą czy oddadzą być może na adres Pędzichów 15 Bobrowski. Należy tam uprzedzić, że to się stać może w przeciągu tygodnia-dwóch. Nie wiem, jaka to będzie suma, ale z tej monety tylko połowę – i to najbardziej stanowczo – macie prowo użyć na sprawy konieczne zagraniczne. Nie róbcie świństw i nie rozdrapcie, bo tu potrzeby szalone. Liczbę funkcjonariuszy powiększyć musimy co najmniej w dwójnasób, stawić nowe intere-*



sy, nowych chwycić się sposobów. Monetę pokwitować w Przedświcie i natychmiast ten N. przez okazję wysłać do naszych w Wa. (rszawie). Jadę teraz gdzieindziej robić to samo.

Co do mobilizacji naszej. Przygotować ludzi: Władka w Londynie<sup>1</sup>), Marjana w Krakowie<sup>2</sup>), Doktorka<sup>3</sup>), Konarskiego z Fryburga<sup>4</sup>), że uważamy ich w stanie rozporządzalnym i w każdej chwili wezwać ich możemy.

Jak będę, a będę wkrótce, bliżej ogadamy interesy.

Do Władka napisać, by natychmiast szedł do Bundu i pogadał z nimi, co oni zamierzają robić, jakie mają plany i czy nie czas pogadać o bliższym kontakcie w celu zwiększenia w naszym kraju siły esowej<sup>5</sup>) dla zaciężenia na szali wypadków, przedstawiając, że przewidzieć niepodobna, jak dalece pójdą wypadki, jakie zajdą ewentualności, w których oni będą odegrywać rolę wciągniętych

1) Aleksandra Malinowskiego. 2) Marjana Dąbrowskiego, brata Józefa, historyka (Grabca). 3) Władysława Mazurkiewicza. 4) Konrada Kaspe rowicza. 5) Socjalistycznej.

w wir wypadków, a nie samodzielną jednostką, wpływającą na przebieg rzeczy. Definitywnego naturalnie nic nie określać, lecz rozpocząć pertraktacje. Gadają tutaj, że przestrah wśród moich duży. Pomimo to aresztów i rewizyj ciągle mnóstwo, głównie Proletariat<sup>1</sup>) i szczeniakerja<sup>2</sup>). Szpiclują wszystkie redakcje i „ludziej imienitych”.<sup>3</sup>) Co z tego będzie, nie wiem, wygląda, jakgdyby chcieli zrobić duże aresztowania.

W Naprzodzie trzymajcie ton bardziej wojowniczy, pchać go w tym kierunku gwałtownie. W Kurjerze Lwowskim<sup>4</sup>) również – to konieczne. Żatem bywajcie zdrowi, tak jestem zajęty, że trudno mi myśli zebrać do porządnego listu. Każda chwila na szczetu<sup>5</sup>). Poznałem mnóstwo ludzi, naszczekałem się jak pies i codzień wieczorem jestem tak zmęczony, że już amen.

Dowidzenia Zi

Za kilka dni do Naprzodu pójdzie koresponda.”

1) Organizacja, kierowana przez L. Kulczyckiego. 2) Młodzież. 3) Osoby znaczne. 4) Organ ludowców. 5) Obliczona.











tyjnej, która dążyła do opanowania władzy w P. P. S.

Sprawa wzmocnienia i radykalizacji ruchu wiązała się ściśle z kwestją funduszków partyjnych, gdyż dotychczasowe zasoby P. P. S., pochodzące ze składek członków i sympatyków, jakkolwiek szybko wzrastające, nie mogły już wystarczać. Chodziło o sumy poważniejsze i Ziuk najbardziej odczuwał ich brak. Trzeba bowiem wiedzieć, że Ziuk niemal od momentu przystąpienia do P. P. S. zawsze był jej „ministrem finansów”. Z niesłychaną skrupulatnością prowadził rachunki partyjne i układał budżety. Sprawozdania rachunkowe przysyłał systematycznie do Londynu, przeprowadzając szczegółową korespondencję z Bagem (również wielkim pedantem na punkcie rachunków, w dodatku buchalterem z zawodu) w sprawie pojedynczych pozycji dochodów czy wydatków.

Chcąc stworzyć nowe, poważne źródła dochodów na cele rewolucyjne, Ziuk zwrócił się do sfer, dotychczas nie wyzyskiwanych przez partję. Między innymi udał się do Petersburga i tam rozmawiał z przedstawicielami kół bardzo zamożnych polskich, wskazując na możliwość wyzyskiwania

sytuacji dla interesów kraju. Zabiegi te wszakże nie dały żadnych wyników i tylko przyczyniły się do zdekonspirowania w pewnej mierze Ziuka. Rząd rosyjski bowiem został poinformowany o nich, co było tem niebezpieczniejsze, że Ziuk w tej akcji występował pod własnym nazwiskiem. Trzeba więc było zwrócić się do innych źródeł pieniężnych. Z wydatną pomocą przyszła emigracja polska w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, posiadająca dość silną organizację robotniczą, sympatyzującą z P. P. S. Ale tego było za mało i kwestja pomocy, którąby się dało uzyskać od Japonji, dojrzewiała coraz bardziej – aż wreszcie doprowadziła do wyjazdu Ziuka do Japonji w lipcu 1904 r. Uchwała co do jego wyjazdu zapadła w Krakowie w bardzo szczupłym gronie towarzyszy partyjnych, w jakimś mieszkaniu (jak sobie teraz przypominam) przy ulicy Andrzeja Potockiego. Wprawdzie faktu wyjazdu Ziuka do Tokio nie można było zataić wobec reszty kierowników P. P. S., jednak „oficjalnie” o niej nic nie wiadano.

Po powrocie z Japonji Ziuk przystępuje do organizowania wszystkiego tego, co by mogło zwiększyć siły rewolucyjnej partji. Jednocześnie zaczyna



oddawać się głębszym studjom nad wojskowością. Bywając u niego, widziałem coraz więcej wydawnictw z tej dziedziny, a w rozmowach swych w tym czasie Ziuk raz po raz wracał do tematów militarnych, które go najwidoczniej „brały” coraz bardziej. Siadywał godzinami nad mapą teatru wojny rosyjsko-japońskiej, zaprenumerował urzędowy dziennik wojskowy „Russkij Inwalid” i wkrótce już mógł nam wszystkim imponować olbrzymim zasobem wiedzy wojskowej.

Akcja terrorystyczna, która poczęła w tym czasie nabierać rozpędu w Rosji, nie animowała Ziuka. Wyrażał się dość sceptycznie o jej skutkach i bynajmniej nie zamierzał stosować tej taktyki u nas, w zaborze rosyjskim. Natomiast całą uwagę skupił na wydobycie z polskiej klasy robotniczej maksymalnego napięcia aktywnych sił rewolucyjnych. Na zebraniach partyjnych propagował zasady rozporządzalności organizacji, która jego zdaniem powinna była przechodzić stopniowo do coraz energiczniejszych wystąpień o coraz bardziej masowym charakterze. Ostro krytykował popularną teorię „żywiolowości” i udawadniał, że tylko celowo zorganizowany wysiłek może dać trwałe rezultaty.

Te jego poglądy, szerzone w partji, dawały też praktyczne wyniki. Od drobnych manifestacyj ulicznych i bicia szpiclów kijami powoli przechodono do prób manifestacyj zbrojnych, z których pierwsza na wielką skalę – na placu Grzybowskiem w Warszawie w dniu 13-go listopada 1904 r. wywołała olbrzymie wrażenie.

Ziuk wysłał kilku zaufanych towarzyszy po broń dla tej manifestacji. Między innymi i ja pojechałem do Wiednia i do Budapesztu, skąd przywiozłem kilkanaście rewolwerów systemu Veldocka, które mi się udało nie bez trudu nabyć i przywieźć do Krakowa, skąd powędrowały do Warszawy. Broń ta w praktyce okazała się lichą, nad czem Ziuk mocno ubolewał. Wkrótce zresztą „welodoki” zostały zastąpione przez browningi i – później – mauzery, co niezmiernie podniosło wartość wystąpień bojowych P. P. S.

Tymczasem wypadki na Dalekim Wschodzie rozwinęły się w cały szereg klęsk caratu. Równoległe z tem występowało coraz poważniejsze wrzenie na obszarze całego państwa carów. Aż wreszcie w styczniu 1905 r. w Petersburgu doszło do słynnej Gaponady, która zainaugurowała wielki



ruch rewolucyjny na całej przestrzeni Wszechrosji i jej „kresów”.

Z natury rzeczy w Królestwie wypadki wysuwały na czoło ruchu Polską Partję Socjalistyczną, jako posiadającą najbardziej rozgałęzioną i sprężystą, a więc najbardziej wpływową organizację. Organizacja ta jednak nie była przygotowana ani do przyjęcia i zasymilowania napływających ze wszystkich stron nowych współpracowników, ani do nadania prowadzonej przez nią akcji charakteru, odpowiadającego w całej pełni zadaniom chwili na terenie polskim. Partja została zaskoczona wypadkami rosyjskimi i poczęła coraz bardziej ulegać wpływom ruchu rosyjskiego. Napływające do P. P. S. elementy wzmacniały w niej tendencje t. zw. „lewicowe”, już nie tylko koordynujące się z ruchem rosyjskim, ale wprost z nim utożsamiające się. Wiara w bliskie zwycięstwo rewolucji wszechrosyjskiej, mającej przekształcić Rosję na jakiś związek demokratyczny krajów i ludów, podbitych przez carat, stawała się udziałem coraz większej części partji, a dotychczasowe hasło niepodległości bladło coraz bardziej. Liczono się z niem wprawdzie jeszcze jako z celem idealnym ruchu, ale realizację tego celu odsuwano w daleką

przyszłość, wierząc, że w przeżywanym momencie dziejowym hasło jakiegoś „prawnopanstwowego usamodzielnienia” Kongresówki jest czemś zupełnie realnem.

Ziuk tych wierzeń, poglądów i nadziei nie podzielał. Widocznie jednak nie uważał za możliwe wysnuwać ostatecznych konsekwencji ze swego stanowiska, gdyż musiałoby to doprowadzić w momencie najzupełniej nieodpowiednim do rozłamu w Partji. Z tą myślą Ziuk nie mógł się przecież pogodzić jako jej twórca w żaden sposób. I tem się tłumaczyła dziwna na pierwszy rzut oka okoliczność, że, będąc członkiem C. K. R., nie zjawił się na marcową konferencję, która w sposób nielegalny została przez jej organizatorów przekształcona na VII zjazd P. P. S. Ten ostatni powziął między innymi uchwałę, która brzmiała: „W myśl programu naszej partji VII zjazd P. P. S. zaboru rosyjskiego uchwała prowadzenie jaknajostrzejszej walki rewolucyjnej o zdobycie prawnopanstwowego usamodzielnienia kraju naszego z uwzględnieniem potrzeb wszystkich narodowości na terenie tym zamieszkałych. Usamodzielnienie to ma określić zwołane do Warszawy zgromadzenie konstytuujące, wybrane na podsta-



wie powszechnego, równego, tajnego i bezpośredniego głosowania – jako najwyższe ciało prawodawcze.” Był to widoczny odwrót od programu niepodległościowego do autonomicznego, jakkolwiek nie postawiono tu jeszcze ostatecznej kropki nad i – co pozwalało i zwolennikom integralnej niepodległości interpretować tę uchwałę w sensie niepodległościowym. Interpretacja ta polegała na nadawaniu owemu „zgrupowaniu konstytuującemu”, czyli konstytuancie warszawskiej, mocy ogłoszenia całkowitej niepodległości kraju.

Na VII zjeździe władza w P. P. S. przeszła w ręce t. zw. „młodych” – późniejszej Lewicy. Autorytet Ziuka nawet u najbardziej oportunistycznie usposobionych „lewicowców” był jednak o tyle zakorzeniony, że nie ośmielono się usunąć go całkowicie z C. K. R.-u i wybrano go doń, ale z zastrzeżeniem „o ile będzie w kraju”.

Dla nas „starych” (Jodko, Jędrzejowski, Sulikiewicz, ja i inni) decydującym było w tym momencie, co postanowi Ziuk. Czy mamy podporządkować się lojalnie uchwałom VII zjazdu, czy też wystąpić przeciwko nim i wysnuć z nich ostateczne konsekwencje. Formalnie mogliśmy poprostu nie uznać tych uchwał jako powziętych przez

zjazd, zwołany nielegalnie, i żądać nowego, normalnie zwołanego zjazdu. Ale mogło to – i na pewno doprowadziłoby do rozłamu, a na to, jako starzy partyjnicy, właściwi twórcy P. P. S., nie szliśmy. Ziuk stanowczo wypowiedział się przeciwko rozłamowi i na odbytych z nim naradach musieliśmy mu przyznać rację. Postanowiliśmy bronić naszych pozycji wewnątrz partji, hamując zapędy „lewicowców” w kierunku autonomicznym, i przygotowywać stopniowo odrodzenie przewagi kierunku niepodległościowego. Ponieważ jedną z uchwał VII zjazdu zawieszono mię w funkcjach członka Komitetu Zagranicznego jako stanowczego i konsekwentnego przeciwnika tendencji autonomicznych, przeto z inicjatywy Ziuka koledzy moi z Komitetu Zagranicznego wystąpili bardzo ostro przeciwko temu niesłychanemu dotychczas zarządzeniu i zapowiedzieli wystąpienie z Komitetu, o ile ta uchwała nie zostanie cofnięta. I rzeczywiście cofnięto ją, a po wymownej obronie mnie przez Ziuka za cofnięciem wypowiedzieli się i „lewicowi” członkowie Komitetu Zagranicznego, narzuceni nam przez VII zjazd. Autorytet Ziuka i tu rozstrzygnął.

Po VII zjeździe położenie nas „starych” było



w partji dosyć ciężkie. Odsuwano nas systematycznie od kierownictwa i pracy agitacyjno-publicystycznej, gdzie mogliśmy się stać najbardziej „niebezpiecznymi”. Stąd część „starych” przeszła do robót technicznych, większość zaś skupiła się przy robotach bojowych. Te bardzo prędko skoncentrowały się (o ile chodzi o kierownictwo) w rękach Ziuka, którego też „lewica” nie mogła odsunąć i od pewnych innych funkcji partyjnych, zwłaszcza o ile chodziło o wystąpienia nazewnątrz.

Tak Ziuk został wydelegowany wraz z innymi przedstawicielami P. P. S. na konferencję siedmiu partji socjalistycznych i rewolucyjnych państwa rosyjskiego, która się odbyła w Genewie w kwietniu 1905 r. z inicjatywy bohatera ruchawki petersburskiej – popa Gapona.

Konferencja ta, jak wiadomo, powzięła cały szereg uchwał, ważnych dla koordynacji sił i działań partji rozmaitych kierunków i narodowości. Po powrocie z konferencji Ziuk dzielił się z nami swymi wrażeniami. Wypadek chciał, że jako reprezentant rosyjskiej partji S. R. (socjalistów-rewolucjonistów) na konferencji genewskiej występował Jewno Azef, głośny niebawem jako

zdemaskowany przez Burcewa agent-prowokator. Mówiąc o nim, Ziuk wyraził się:

– Dosyć mi się podobał ten Żydowin...

Takie wrażenie wywarł na Ziuku Azef, zdaje się, głównie tem, że w dłuższej rozmowie z nim dość lekceważąco odzywał się o „rewolucyjnych kaczestwach russkawo czelowieka” (właściwościach rewolucyjnych Rosjanina).

Organizowanie sił bojowych P. P. S. niemal całkowicie pochłaniało energję Ziuka w tym czasie. Jego stanowisko, streszczające się w dążeniu do systematycznego wytwarzania wielkiej siły zbrojnej, któraby mogła odegrać rolę rozstrzygającą w decydującym momencie rewolucji, napotykało na znaczny opór ze strony „lewicowego” kierownictwa partji. To ostatnie skłaniało się raczej do forytowania efektownych wyczynów terrorystycznych, lub do sprowadzenia Organizacji Bojowej do roli „czyściciela”, sprzątającego szpiegów i wogóle pojedyncze jednostki, szkodliwe dla partji. Stąd ustawiczne polemiki na zebraniach partyjnych, gdzie Ziuk musiał bronić swego stanowiska wobec kierownictwa „lewicowego” lub uzasadniać i propagować je przed szerszym audytorjum partyjnym. Odbywało się to nie



tylko w zaborze rosyjskim, ale i na gruncie gali-cyjskim, gdzie znajdowała się właściwa baza dzia-łań Organizacji Bojowej, gdzie istniały perjodycz-nie organizowane szkoły bojowe, skąd wysyłano bojowców na poszczególne akcje w Królestwie. Na tem tle Ziuk rozwinął nadzwyczajną energję: organizował, przemawiał, wykladał, urządzał kon-ferencje i skupiał dokoła siebie coraz większą liczbę gorących zwolenników, traktujących go ja-ko wodza.

Tak płynęły miesiące gorącego roku 1905-ego. Ziuk coraz częściej i coraz dłużej przebywał w za-borze rosyjskim, a powracając do Krakowa, od-dawał się ustawicznemu „piłowaniu się” (jak nazy-wał dyskusje na zebraniach organizacyjnych) w sprawach bojowych. Skutkiem tego, pracując w zupełnie innym dziale roboty partyjnej, sty-kałem się z nim tylko dorywczo – i to głównie w chwilach jego odpoczynku, kiedy o sprawach partyjnych przeważnie nie mówiło się.

Godziny odpoczynku poświęcał grze w szachy, czasami grywał w winta, bardzo często rozkładał pasjansa i nie na żarty martwił się, kiedy pasjans nie wychodził. Nie widać było po nim zmęczenia, a w kole bliższych przyjaciół prowadził ożywione

rozmowy, chętnie powracając do epizodów życia syberyjskiego lub innych wypadków swego życia. Tak kiedyś szczegółowo opowiadał o zachowywa-niu się w więzieniu po „wsypie” łódzkiej 1900 ro-ku. Mówił, że symulacja w Cytadeli udawała mu się świetnie i mogła wprowadzić w błąd nawet wytrawnego lekarza. – Mam talent aktorski, mó-wił, śmiejąc się. Ale symulacja ta wymagała tak dużego natężenia nerwów, że czuł, iż po dłuższym czasie zwarjuje niechybnie naprawdę. To też, przeniesiony do Petersburga, do szpitala Mikołaja Cudotwórcy, zupełnie przestał symulować obłąka-nego i myślał tylko o zorganizowaniu ucieczki.

Tymczasem w Rosji wrzenie rewolucyjne do-chodziło do swego apogeum. Gdzieniedzie, zwła-szcza na kresach, przedewszystkiem zaś w Króle-ctwie (specjalnie w Zagłębiu Dąbrowskiem) obok władz rządowych coraz większego znaczenia na-bierały miejscowe komitety partyjne. Zdawało się, że carat niebawem runie bezpowrotnie. Ziuk odnosił się do tych przewidywań sceptycznie, wy-chodząc z założenia, że rewolucja nie posiada sił, mogących serjo walczyć z wojskiem.

W październiku wybuchł wielki strajk kolejo-wy, obejmujący całe państwo. Wywołało to pani-



kę w kołach rządu rosyjskiego i w rezultacie manifest 17/30, zapowiadający wprowadzenie konstytucji. My, przebywający na emigracji pps-ow-y, otrzymaliśmy od naszych władz warszawskich wezwanie do powrotu do „kraju” i wkrótce znaleźliśmy się wszyscy w Królestwie.

Ziuk absolutnie nie wierzył w trwałość skutków przewrotu październikowego w Rosji. Na pęd do „legalizowania się”, który ogarnął znaczną część emigracji partyjnej po 30 października, zapatrywał się bardzo sceptycznie i osobiście nie czynił w tym kierunku żadnych kroków, twierdząc, że wkrótce przyjdzie surowa reakcja i że te „swobody”, które narazie rząd, skonsternowany wrzeniem rewolucyjnym, toleruje, będą niebawem cofnięte. To też i po 30 października, tak samo jak i uprzednio, przebywał w zaborze rosyjskim nielegalnie, nigdzie publicznie nie afiszując się, gdy tymczasem mnóstwo naszych towarzyszy zdekonspirowało się i zlegalizowało się, co ich wkrótce miało poprowadzić prostą drogą do... kozy.

Ja, dotarwszy do Warszawy drogą okrężną przez Poznańskie i – końmi, wobec dalszego trwania strejku kolejowego w Królestwie – od Kalisza przez Łódź i Łowicz, również nie miałem ochoty

zdekonspirowania się. Po krótkim pobycie w Warszawie i Wilnie dotarłem do Petersburga, gdzie zatrzymałem się na czas dłuższy, i gdzie obok rządu carskiego funkcjonowała jawnie rewolucyjna Rada Delegatów Robotniczych. Sytuacja wyglądała jednocześnie i groteskowo i tragicznie. Siły rządu i siły rewolucji ważyły się. „Nowoje Wremia” zastanawiało się zupełnie serjo – kto kogo pierwszej zlikwiduje – czy rząd Radę Delegatów Robotniczych, czy ta ostatnia rząd. Znając dobrze stosunki rosyjskie i przyjrawszy się bliżej temu, co się działo w Petersburgu (wpadłem też na kilka dni i do Moskwy), oceniłem sytuację pesymistycznie. To też, wydostawszy papiery na własne nazwisko, nie rozstawałem się z paszportem austriackim, za którym wyjechałem nielegalnie z Krakowa i który mi niebawem ułatwił doń powrót – przez Finlandję, Szwecję, Danję i Niemcy.

Przez cały ten czas spotkałem Ziuka tylko przełotnie w Warszawie, gdzie się konsekwentnie konspirował, nie występując nigdzie publicznie. Pochłonięty był sprawami Organizacji Bojowej i mówił o dalszym rozwoju walki rewolucyjnej.

Powróciłem do Galicji w przeddzień VIII zjazdu P. P. S., który miał się odbyć w lutym 1906



roku we Lwowie. Wewnętrzne rozbitcie ideowe partji dochodziło już do szczytu rozwoju. Jednocześnie widoki dalszego biegu rewolucji w zaborze rosyjskim i w Rosji przedstawiały się bardzo niewyraźnie. Na VIII zjeździe, bardzo licznym, „lewicowe” władze partyjne zmobilizowały wszystkie swoje siły, aby nie dopuścić do zwycięstwa „starych” z Ziukiem na czele. My, „starzy”, pragnący aż do ostateczności bronić jedności partji i nie dopuścić do rozłamu, występowaliśmy na zjeździe lwowskim bardzo powściągliwie. Naszym leaderem był Ziuk. Wygłosił on wspaniałą, przeszło godzinną mowę, w której bronił swego stanowiska w sprawie Organizacji Bojowej. Odepierał wymownie dążenie do tego, aby stała się ona „bandą czyścicieli publicznych, wymiatających bezustannie brudy carskie”, i za główne jej zadanie uważał przygotowanie możliwie wielkiej liczby organizatorów przyszłej walki zbrojnej, którzyby ubojowali całą partję i wszystkich towarzyszy partyjnych uczynili zdolnymi do szerokiej akcji bojowej. Bronił też samodzielności organizacyjnej O. B. Mówił tak przekonywująco i mądrze, że zdobył sobie posłuch nawet wśród skrajnych „lewicowców”, pomiędzy którymi byli lu-

dzie, poraz pierwszy go słuchający i wcale go nie znający.

Pamiętam, jak jakiś młody delegat z Pabjanicy czy Zduńskiej Woli, akurat siedzący przedemną, odezwał się półgębkiem:

– Wcale dobrze mówi, ale straszny mantyka... Kto to taki?...

W trakcie przemówienia Ziuka jedna z naczelnych reprezentantek „lewicy” – dr. Golde-Strożecka – puściła między „swoich” kartkę: „po mowie nie klaskać!”. Kartka ta dostała się do rąk przewodniczącego, dr. Hermana Diamanda, który ku powszechnej konfuzji „lewicowców” publicznie jej treść ujawnił.

I zjazd przyjął olbrzymią większością stanowisko Ziuka w sprawie Organizacji Bojowej, co było niezaprzeczonem zwycięstwem „starych”. Natomiast w kwestjach programowych przyjęto uchwały dość mętne. Wprawdzie hasła niepodległości z programu nie usunięto, ale uczyniono je zupełnie nierealnym. Uchwały bowiem brzmiały: 1) Partja dąży do utworzenia Niepodległej Republiki demokratycznej. 2) Partja uznaje, że w dzisiejszym okresie rewolucyjnym niema warunków, umożliwiających zdobycie niepodległości i wobec



tego w dzisiejszej rewolucji walki o zdobycie niepodległości nie prowadzi. 3) Partja odrzuca myśl o powstaniu narodowym (wojnie polsko-rosyjskiej) jako utopijną. 4) Partja prowadzi obecnie, wraz z proletariatem całego państwa rosyjskiego, solidarną walkę rewolucyjną, której celem jest: obalenie caratu i stworzenie na jego gruzach ustroju federacyjno-republikańskiego; stosunek federacyjny ustanowi Konstytuanta Warszawska w porozumieniu z Konstytuantą Petersburską”.

To też my „starzy” rozjeżdżaliśmy się ze Lwowa pod wrażeniem nieuniknioności rozłamu partyjnego. Rozłam ten nastąpił rzeczywiście w listopadzie 1906 r. na IX zjeździe P. P. S. w Wiedniu. Nie byłem na nim, więc nie mogę ocenić wystąpienia Ziuka, który bronił Organizacji Bojowej jako jej kierownik, przed wystąpieniami „lewicy”. Zjazd zakończył się, jak wiadomo, wykluczeniem z partji członków Wydziału Bojowego z Ziukiem naczele i wszystkich ich zwolenników.

Natychmiast po zjeździe wiedeńskim na konferencji w Krakowie utworzyła się Frakcja Rewolucyjna P. P. S., która nawiązała nici tradycji dawnej, integralnie niepodległościowej Polskiej Partji Socjalistycznej i, jak wkrótce można było

stwierdzić, skupiła w swych szeregach olbrzymią większość robotników, zorganizowanych w przedrozłamowej P. P. S. Zaraz po konferencji krakowskiej wyjechałem nielegalnie do Warszawy i tam objąłem redakcję tajnie drukowanego „Robotnika”. Na tem stanowisku znowu stykałem się z Ziukiem, który wprowadzie nie wszedł do C. K. R.-u Frakcji i kierował w dalszym ciągu Organizacją Bojową, ale bywał od czasu do czasu na posiedzeniach C. K. R., w których brałem udział ex offo jako redaktor „Robotnika”.

Spotkania te nie były częste. Ziuk na tych posiedzeniach bywał krótko i ograniczał się do paru uwag w sprawie tego czy innego artykułu, albo zabierał głos autorytatywny co do pewnych wystąpień partji. Zapamiętałem pewne jego dłuższe przemówienie z okazji dyskusji nad artykułem, mającym określić stosunek P. P. S. do narodowo-demokratycznego projektu autonomji Królestwa Polskiego, wniesionego do Dumy. Ziuk podkreślał konieczność, jak się wyraził, „postawienia sprawy polskiej” na forum europejskim i niedopuszczenia do jej zejścia z porządku dziennego. W możliwość uzyskania autonomji przez Dumę nie wierzył i stał konsekwentnie na stanowisku bojkotu



wyborów do Dumy, czego się też trzymała aż do końca i nasza partja, gdy tymczasem Lewica P. P. S. oraz Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy zeszyły z pierwotnego stanowiska bojkotowego.

Zajmowały go jednak przede wszystkim sprawy Organizacji Bojowej, więc komunikował nam jej plany i omawiał projekty akcji, przez nią albo przez nas wysuwane. Ukrywał się w Warszawie, ale nikt z nas ani jego adresu nie znał, ani nie interesował się nazwiskiem, pod którym był zameldowany.

Przeciwnik zasadniczy teroru, skierowanego przeciwko poszczególnym osobistościom, Ziuk tylko w wyjątkowych wypadkach doń dopuszczał, uważając za główne zadanie Organizacji Bojowej ubojowanie mas. I akcje pieniężne, organizowane przez O. B., (napady na kasy rządowe, pociągi pocztowe i t. d.) miały przede wszystkim na celu zapewnienie funduszków na przeprowadzenie takiego ubojowania. Ziuk miał też specjalny pociąg do t. zw. przez niego „akcyj sercowych”, skierowanych nie przeciwko ludziom, ale przeciwko instytucjom i, zwłaszcza, pomnikom panowania rosyjskiego w Polsce. Z jego inicjatywy organizo-

wano w swoim czasie zamachy bombowe, między innymi, na kaplicę murawiewską w Wilnie, na pomnik cara Aleksandra II w Częstochowie. Na posiedzeniach C.K.R. Frakcji Rewolucyjnej żywo były omawiane projekty zamachów na koszarach kozackich w Łodzi i na sobór prawosławny na placu Saskim w Warszawie — jako na najbardziej zniechęcony symbol panowania moskiewskiego w Polsce. Ten ostatni projekt mocno animował Ziuka, ale wykonaniu jego stanęła na przeszkodzie ewentualność licznych ofiar niewinnych.

Reakcja porewolucyjna, srożąca się zwłaszcza na ziemiach polskich i znacząca swój pochód dziesiątkami szubienic, tysiącami aresztowań i deportacji oraz rozwojem prowokacji, wywołała stopniowe kurczenie się organizacji partyjnych. Najdzielniejsi towarzysze ginęli na stokach Cytadeli, inni przebywali za kratami lub na zesłaniu. Pozostali na wolności działacze partyjni wobec rozkonspirowania się i coraz mniej sprzyjających warunków działalności nielegalnej musieli uciekać za kordon. I znowu, jak przed rewolucją 1905 r., w Galicji skupili się emigranci, i znowu tam powstała baza operacyjna dla wszystkich poczynań w zaborze rosyjskim. Z Galicji — z Krakowa i Lwo-



wa oddziaływali nań i przywódcy Frakcji Rewolucyjnej, która na drugim swym zjeździe w Wiedniu w r. 1909 powróciła do dawnej nazwy P.P.S. bez żadnych dodatków. W Galicji osiadł na stałe również i Ziuk. Ja też mieszkalem w Krakowie, redagując tam aż do wybuchu Wielkiej Wojny „Robotnika” i inne organa agitacyjne P.P.S. oraz miesięcznik teoretyczny „Przedświt”.

W tym okresie stosunki moje z Ziukiem były bardzo ścisłe, czasami niemal codzienne, o ile nie wyjeżdżał z Krakowa na czas dłuższy.

Stan zdrowia Ziuka był wtedy nie świetny. Cierpiał na nerwicę serca i wogóle niedomagał. Pewnego razu wracaliśmy plantami z jakiegoś zebrania. Nagle spostrzegłem, że Ziuk chwieje się. Chwyciłem go mocno pod ramię i powoli doprowadziłem do znajdującej się w pobliżu kawiarni Janikowskiego. Dopiero po dłuższym odpoczynku mógł udać się do domu.

Jeden z najwybitniejszych lekarzy krakowskich (Rutkowski, jeśli się nie mylę) powiedział mu kiedyś, że pierwsza influenza może go zgubić i że nie ma mowy o jazdach „na tamtą stronę” – t.j. do zaboru rosyjskiego. Ta djagnoza bynajmniej nie wpłynęła na zachowanie się Ziuka. Podawne-

mu jeździł, nie unikając i „tamtej strony”, po dawnemu „piłował się” na zebraniach partyjnych. Miał tylko jedno zastrzeżenie: aby nie zaczynało tych ostatnich przed 10-tą rano. Na wcześniejsze wstanie nie mógł zdobyć się i mówił: – jeśli chcecie, zaczynajcie bezemnie, przed 10-tą nie przyjdę.

Ziuk, przebywając w Krakowie, bardzo często widział szpiegów rosyjskich, podejrzewając o funkcje szpiegowskie rozmaite typy, spotykane na ulicach. Zapewne, nie brak było wówczas szpiegów rosyjskich w Galicji, ale podejrzania Ziuka, jak również i innych pps-owców, emigrantów z zaboru rosyjskiego, były mocno przesadzone i często na niczem nie oparte. Pewnego razu np. szliśmy plantami w pobliżu dworca kolejowego i spotkaliśmy mężczyznę – mocnego bruneta o dużej brodzie. Ziuk wskazał mi na niego, mówiąc:

– Jest to napewno szpieg rosyjski...

Ponieważ postać tę spotkałem już kilka razy i zapamiętałem ją z powodu charakterystycznego wyglądu, przeto postanowiłem dotrzeć do prawdy. Niebawem też przez towarzyszy miejscowych dowiedziałem się, że ów domniemany „szpieg” był



Galicjaninem, kolejarzem i na żadne podejrzenia nie zasługiwał.

Ta przesadna podejrzliwość cechowała Ziuka wyłącznie w stosunku do świata zewnętrznego. Natomiast w sferze partyjnej był pod tym względem niezmiernie powściągliwy i ostrożny, choć zdemaskowanie Azefa i całego szeregu prowokatorów w rosyjskim ruchu rewolucyjnym wywołało pewnego rodzaju panikę i przesadną, nieraz wprost chorobliwą, podejrzliwość. Tak np. w kołach P.P.S. poczęła się szerzyć pogłoska, że jeden z działaczy krajowych, K. jest prowokatorem. Z czasem wyjaśniło się, że pogłoska ta na niczem nie była oparta i że ów K. był jednostką ideową, ofiarną i czystą ponad wszelką wątpliwość, ale na razie podejrzenia, wywołane lekkomyślnie szerzonymi pogłoskami, podzielane były nawet przez takie jednostki jak B. Jędrzejowski (Baj). Ja osobiście podejrzeń tych nie podzielałem i K. bronilem. Kiedym spytał Ziuka, czy sądzi, że K. jest szpiegiem, powiedział mi, że w to nie wierzy i tego nie przypuszcza.

Ziuk dość często przebywał w Zakopanem i nawet mieszkał tam przez czas dłuższy, zwłaszcza, że Zakopane stało się od pewnego czasu niejako de-

meną wpływów P.P.S., gdy dawniej, przed wojną rosyjsko-japońską, przez szereg lat rej wodzili tam narodowi demokraci. W Zakopanem odbywały się nasze konferencje partyjne, tam osiedli na dłuższy czas działacze partyjni, niedomagający na płuca, jak Jędrzejowski, F. K. Prauss, tam mieszkały rodziny „nielegalnych” z zaboru rosyjskiego, tam wreszcie można było wywierać wpływ na licznych przyjezdnych z zaboru rosyjskiego, z czego Ziuk wydatnie korzystał.

Do jego izby w chałupie góralskiej na drodze do Poronina zaglądali najrozmaitsi ludzie, głównie członkowie i sympatycy P.P.S., ale również i dalej stojący inteligenci z zaboru rosyjskiego. Spotykano się z nim i w lokalach publicznych. Kiedyś w „Morskiem Oku” został urządzony „bankiet” (jeśli można tak nazwać zebranie około 30 ludzi przy skromnej kolacji), na którym był cały szereg działaczy partyjnych nie tylko z P.P.S. zaboru rosyjskiego, ale i z P.P.S.D. Galicji i Śląska (między innymi Daszyński). Wszyscy byli w nastroju wesolym. Na samym początku biesiady „Michał” (Sulkiewicz) wyrwał się z przemówieniem ku czci poległych towarzyszy. Ziuka to oburzyło, więc zgromił po przyjacielsku „Michała”



za to wprowadzenie ponurego zgrzytu w wesoły nastrój i mówił o przyszłości ruchu i przyszłych walkach. Przy tej sposobności bardzo dowcipnie pokpiwał z nedorzecznego stosowania materialistycznego pojmowania dziejów przez niektórych socjalistów zachodnioeuropejskich i opierania na tej formułce zarzutów przeciwko hasłu niepodległości Polski. Niektóre z jego powiedzeń były tak dowcipne i trafne w swej zjadliwości, że większość zęromadzonych pokładała się ze śmiechu i długo później wspominała ten wieczór.

Jak już wspominałem wyżej, reakcja porewolucyjna, zwłaszcza w Królestwie, doprowadziła do skurczenia się roboty partyjnej nawet agitacyjnej nie mówiąc już o bojowej. Organizacja Bojowa wprawdzie trwała i nawet dokonywała efektywnych czynów pojedynczych, ale o dalszej pracy w kierunku ubojowienia mas nie mogło być już mowy. Tem bardziej, że całe kierownictwo bojówki P.P.S. znalazło się na emigracji w Galicji i stamtąd musiano organizować poszczególne akcje bojowe na terenie zaboru rosyjskiego. Akcje te zresztą były coraz rzadsze i posiadały prawie wyłącznie charakter „pieniężny”, przyczem wpływy z tych źródeł ustawicznie malały. Tymczasem u-

trzymywanie dość silnego liczebnie kierownictwa Organizacji Bojowej stawało się coraz większym ciężarem dla partji, tem bardziej, że w jej szeregach pogłębiało się coraz bardziej przekonanie o anachronistyczności utrzymywania bojówki w dotychczasowym jej charakterze. Trzeba więc było ją zlikwidować, co też wymagało znacznych środków pieniężnych. Stąd konieczność przygotowania i przeprowadzenia jakiejś wielkiej akcji, któraby – z jednej strony umożliwiła tę likwidację, z drugiej zaś pozwoliła partji wejść na nowe drogi. Zadania te stały się na pewien czas główną troską Ziuka.

W największej tajemnicy nawet przed najbliższymi towarzyszami z „cywilnego”, że tak powiem, kierownictwa partji przygotowywano plany takiej akcji. Ziuk od czasu do czasu znikał. Jego dłuższą nieobecność staraliśmy się upozorować w rozmaity sposób, wiedząc, że jest zajęty przygotowaniami do owej wielkiej akcji, którą chce kierować osobiście. Wreszcie akcja ta została dokonana w postaci słynnego napadu na pociąg pocztowy pod Bezdunami we wrześniu 1908 roku.

Rezultaty pieniężne tej akcji rozwiązały kierownictwu partyjnemu ręce. Bojówka została w cią-



gu pewnego dłuższego czasu – nie bez tarć – zlikwidowana i Ziuk całą siłą pary przystąpił do wykonywania oddawna już posiadanego planu, stanowiącego najzupełniejsze „novum” w partji.

Plan ten wynikł u niego z rozważania przyczyn klęski ostatniej rewolucji i z głębszych studjów spraw wojskowych, które prowadził, jak już wiemy, od czasu wojny rosyjsko-japońskiej.

W sprawie klęski rewolucji jego rozumowania, któremi się z nami dzielił, miały tok następujący. Rewolucja, zwłaszcza w Polsce, długoletnią pracą agitacyjną i organizacyjną P.P.S. przygotowała olbrzymie siły moralne, które w momencie klęsk wojennych caratu przewyższały te siły moralne, jakimi on rozporządzał. Klęski wojenne odsłoniły zgniliznę rządów carskich i podkopały autorytet ich administracji nawet w rdzennej Rosji, cóż dopiero mówić o „kresach”, gdzie autorytet ten zawsze był słaby. Pod względem moralnym przewaga była niewątpliwie po stronie rewolucji. Ale tego nie wystarczało do zwycięstwa. Carat rozporządzał siłą fizyczną – wojskiem – i ono rozstrzygnęło sprawę na niekorzyść rewolucji, która nie zdobyła wojska moralnie, a fizycznie nie mogła się z niem mierzyć. Siła moralna rewolucji była gro-

madzona i hartowana w ciągu szeregu lat, kiedy o praktycznej walce rewolucyjnej konkretnie jeszcze nie myślano, jako o czemś jeszcze dalekiem. Siłę fizyczną budowano dopiero w momencie, kiedy ją trzeba było zużywać w walce, narzuconej przez okoliczności, a więc zapóźno. I siła ta okazała się zbyt słabą dla złamania potęgi wojskowej caratu. Stąd wniosek praktyczny: do zwycięstwa potrzebna jest siła fizyczna i umiejętność prowadzenia walki z przemocą fizyczną, którą carat posłał przeciwko rewolucji.

Poglądy owe stały się źródłem tego, co Ziuk nazywał „agitacją militarną”. Ta ostatnia polegała na nakłanianiu wszystkich towarzyszy do uczenia się rzemiosła wojskowego, do studjowania literatury wojskowej, do wysunięcia na plan pierwszy wszystkiego, co było związane z walką fizyczną, bronią, wojskiem i t. p.

Do tych rzeczy Ziuk zapalał się coraz bardziej i z całą pasją propagował na „militaryzm”, jak nazywano te poglądy, swe otoczenie.

Sam sposób propagowania tych nowych poglądów w kołach partyjnych posiadał pewne cechy, które, zamiast jednać uznanie dla tych poglądów, często zrażały ludzi do nich. I to nawet ludzi, oso-



biście bardzo dobrze dla Ziuka usposobionych. Odgrywała tu pewną rolę właściwa mu przekora, nakazująca przeciwstawić się w sposób bardzo radykalny panującym uprzednio poglądom – poglądom, podzielanym i przez niego samego. Baj (Jędrzejowski) nazwał to kiedyś metodą „przeżynania łuku w przeciwną stronę” i nazwa ta dla określenia występowania Ziuka do pewnego stopnia utarła się, tak, że, i on sam niekiedy przyznawał jej słuszność nawpół żartobliwie.

Na mnie osobiście ta metoda również oddziaływała ujemnie, budząc pewnego rodzaju opór. Jakkolwiek lojalnie przeszedłem jakiś tam kurs „wojskowy” t. j. wysłuchałem serji obowiązkowych wykładów i nie unikałem nawet ćwiczeń, to jednak pozostałem „cywilem” w pełnym znaczeniu tego słowa, do „militaryzmu”, nie zapaliłem się, później do „Strzelca” nie wstąpiłem i nawet na wojnę poszedłem jako „cywil”.

Ziuk naturalnie nie ograniczał się samą propagandą „militaryzmu”, ale w dalszym ciągu studjował sam dyscypliny wojskowe, organizował wykłady wojskowe, dawał inicjatywę do tworzenia polskiej literatury wojskowej, przeprowadzał ćwiczenia wojskowe, w których brał czynny udział

i t. d. Charakterystyczne, że z rozpoczęciem praktycznych studjów wojskowych dziwna zmiana zaszła i w stanie zdrowia Ziuka. Teraz wstawał, jeśli tego było potrzeba, o świcie i podążał na ćwiczenia wojskowe bardzo wczesnym rankiem, dając tem przykład punktualności i obowiązkowości młodym.

W swej propagandzie militarnej Ziuk znalazł daleko wdzięczniejszy grunt we Lwowie niż w Krakowie. To też coraz częściej i dłużej przebywał w tem pierwszym mieście, powracając do Krakowa na odpoczynek, i wyręczając się tu Sławkiem, który odrazu fanatycznie przejął się poglądami i nawet metodami Ziuka, nie wyłączając owego „przeżynania łuku w przeciwną stronę”.

Z wyżej wymienionych powodów kontakt między mną i paru innymi towarzyszami z Wydziału Zagranicznego P.P.S. a Ziukiem nieco się w tym czasie nadwyrężył. Do tego przyczyniły się zresztą i inne okoliczności. Ilekroć przychodziłem do Ziuka, prawie zawsze zastawałem go grającego w szachy z jakimś B. lub S. W każdym razie dwaj ci goście – nie tyle Ziuka, co pani Marji, jego żony, zawsze tam byli obecni. Ponieważ zaś S. był „lewicowcem”, a B. też nie był człowiekiem, wobec



którego możnaby było szczerze i otwarcie mówić o sprawach partyjnych, więc się o nich nie wspominało, choć się przychodziło do Ziuka właśnie na rozmowy, ściśle z tematami życia partyjnego związane. Powoli więc niektórzy towarzysze przestawali u niego bywać, co przyczyniło się zwolna do nadwątlenia stosunków i – skutkiem tego – niekiedy do nieporozumień. Winę tego ponosiła głównie pani Marja, na którą też nieraz dąsaliśmy się.

Pani Marja była niewątpliwie osobistością wybitną. Zdolna, szybko orjentująca się, wymowna, oddana sprawie, potrafiła wywierać wpływ na otoczenie, zwłaszcza że warunki zewnętrzne (zwano ją „piękną Panią”) wielki zmysł towarzyski i wesołe usposobienie bardzo jej to ułatwiały. W Krakowie spędzała czas w ustawicznym wirze towarzyskim, z nadzwyczajną gościnnością przyjmowała znajomych, odwiedzających Ziuka, wieczory do późna spędzała w kawiarniach i starała się nie odstępować męża nigdy, o ile to tylko było możliwe. Początkowo Ziuk towarzyszył jej do kawiarni, ale później począł się buntować. Kiedy ona chciała pozostać w „Secesji” czy u „Michalika” dłużej, nieraz poza północ, Ziuk w pewnym mo-

nencie wstawał i szedł sam do domu. Na tem tle nastąpiło pewne oziębienie stosunku Ziuka do żony, starannie ukrywane przezeń wobec najbliższych nawet przyjaciół, Ale tego się ukryć nie dało.

Po pewnym czasie Ziuk zorientował się, że rozluźnienie kontaktu z szeregiem najstarszych i szczerze mu oddanych towarzyszy odbija się ujemnie i na jego poczynaniach. Nie informowani bowiem dokładnie przezeń o biegu jego robót „militarnych”, nie mieliśmy dostatecznego zasobu argumentów dla zwalczania szerzących się plotek i osądzeń, które mogły wywołać niepożądane konsekwencje w kołach partyjnych, będących jednak najwdzięczniejszym i jedynie pewnym polem działalności Ziuka. Postanowił więc temu zaradzić za pomocą wyjaśnienia sytuacji na specjalnem zebraniu najbliższych przyjaciół.

Takie zebranie odbyło się w mieszkaniu Bąka. Byli na niem – poza gospodarzem i Ziukiem – Witold Jodko, Feliks Perl, Aleksander Malinowski, Władysław Dehnel, Aleksander Sulikiewicz i ja. Ziuk wypowiedział się na tem zebraniu zasadniczo o konieczności tej roboty wojskowej, którą roz-



począł – głównie na gruncie lwowskim. Wskazywał na jej wielką wagę na przyszłość, przy wznowieniu ruchu rewolucyjnego w sprzyjających warunkach i zakończył kategorycznym żądaniem, abyśmy się wypowiedzieli zasadniczo w tej sprawie. Uważał ją bowiem za wyjątkowo trudną i wymagającą dużych wysiłków. – Jeśli wy mnie nie poprzecie – mówił – w takim razie będę musiał dać temu spokój, bo bez waszego poparcia nie dam sobie rady.

Chodziło tu o poparcie roboty „militarnej” Ziuka wewnątrz partji, gdzie gromadziła się coraz większa suma niezadowolenia z pewnych posunięć na terenie tej właśnie roboty. Ścisłe zorganizowanych towarzyszy raz było to zwłaszcza, że do tego działu pracy wciągano jednostki i z poza partji, jakkolwiek demokratycznie i radykalnie usposobione, nie mniej jednak nie należące do organizacji partyjnej. Następnie rodziły się obawy, że skoncentrowanie uwagi na pracy „militarnej” zagranicą może osłabić właściwą robotę partji – organizatorską i agitacyjną – wśród mas robotniczych na terenie zaboru rosyjskiego. Stąd coraz szerzej roznowszeczniające się pogłoski, że P.P.S. zrywa z całą swoją tradycją robotniczo-socjalistyczną, że daży kosztem zatraty swego charakteru klasowego do

przekształcenia się na partję rewolucyjną ogólnonarodową i t. d.

Tym żalom dał najwymowniejszy wyraz na owem zebraniu Perl, ja również wyraziłem obawę, czy zbyt ściśle współdziałanie z lwowskimi postępowymi demokratami i wogóle z żywiołami niesocjalistycznymi nie doprowadzi do osłabienia charakteru socjalistycznego P. P. S. Wskazałem przytem na coraz głośniej szerzące się słuchy, jakoby P.P.S. miała nawet formalnie przekształcić się na jakieś stronnictwo narodowo-rewolucyjne, szukające w dodatku kontaktu z Narodową Demokracją dla wspólnej akcji „militarystycznej”. Sulkiwicz również podzielał te obawy, powołując się na pewne powiedzenia „militarystów”. Baj i Jodko starali się wnieść nastrój ugodowy.

W odpowiedzi na wszystkie te żale Ziuk zabrał głos, zarzucając nam nieuzasadniony brak zaufania do prowadzonej przez niego roboty, która w niczem nie ma naruszać ani charakteru partji, ani jej zasadniczych dążeń. Mówił, że wciąganie żywiołów niesocjalistycznych do roboty „militarnej” raczej te żywioły poddaje wpływom P.P.S. niż odwrotnie.

Dyskusja trwała czas jakiś. Zabrałem głos po-



raz drugi, użalając się na stosunki, które wytworzyły sytuację, pozbawiającą nas, krakowian, kontaktu z Ziukiem i możliwości porozumienia się z nim w najważniejszych sprawach bezpośrednio. Zebranie skończyło się oświadczeniem naszym, że będziemy bezwzględnie popierali „militarystyczne” prace Ziuka i bronili jego stanowiska wobec towarzyszy. Tylko Perl zajmował w dalszym ciągu stanowisko krytyczne wobec roboty „militarnej” i, jakkolwiek uznawał jej potrzebę, to jednak nie dał się przekonać, że jej rozwój nie odbije się na działalności partyjnej i jej charakterze socjalistycznym ujemnie.

Rozeszliśmy się z postanowieniem dawania Ziukowi wszelkiej pomocy w rozpoczętej przezeń akcji i łagodzenia tarć, na tem podłożu wynikłych.

Co do mnie, to ściśle trzymałem się powziętego na tem zebraniu postanowienia. W redagowanym przez siebie „Robotniku” uwzględniałem tendencje „militarne”, popularyzowałem w odczytach poglądy Ziuka. Napisałem uzupełnienie statystyczne do jego „Geografji militarnej Królestwa Polskiego”, które partja wydała w r. 1910 jako kolejną książeczkę „Biblioteczki popularnej Życia”. Zapisywałem jego wykłady na szkołach partyjnych,

które w tym czasie były organizowane we Lwowie i w Krakowie i t.d. Wykłady zapisywałem niestenografując, ale możliwie trzymając się ich do słownego brzmienia i potem opracowując literacko. W ten sposób powstały „Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim”, które drukowałem w NN. 243-247 „Robotnika” (III-IX.1910) i które wyszły również w „Bibliotece popularnej Życia” w Krakowie (1910).

Tymczasem robota „militarna” Ziuka rozrastała się i przybierała coraz szersze rozmiary, żywiołowo przekraczając ramy partyjne. Młodzież socjalistyczna wypełniała wprawdzie kadry Związku Walki Czynnej (Z.W.C.) i organizacji „Strzelca” i początkowo cały wznowiony ruch wojskowo-niepodległościowy opierał się prawie wyłącznie na elementach socjalistycznych. Ale sam rozwój ruchu tego wymagał rozszerzenia tych kadr na żywioły pozapartyjne, naturalnie demokratyczne i postępowe, ale nie związane organizacyjnie z P.P.S. czy z P.P.S.D. Galicji i Śląska.

Jednocześnie sytuacja międzynarodowa wskazywała, że moment historyczny, usprawiedliwiający całą tę robotę, zbliża się szybkimi krokami. Trzeba było myśleć o bezpośrednich przygotowa-



niach do wiszącej w powietrzu wojny, o koordynacji sił i powstających niezależnie od P.P.S. ośrodków pracy militarnej, która się stawała coraz popularniejszą w szerszych kołach społeczeństwa.

Ziuk, będący w tym czasie członkiem C. K. R.-u, jednocześnie wyrastał na kierownika całego ruchu niepodległościowego. W założonej z inicjatywy P.P.S. w r. 1912 Komisji Tymczasowej Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych jego autorytet jako promotora przygotowań militarnych nie budził niczyjej wątpliwości.

Biorąc czynny udział w pracach Komisji Tymczasowej jako szef jej biura prasowego i zastępca sekretarza (dra Witolda Jodki), widziałem, jak słowa Ziuka przyjmowane były przez reprezentantów poszczególnych stronnictw niepodległościowych. Imponował on im swoją wiedzą, swym szerokim traktowaniem zagadnień bieżących, a zarazem trzeźwym realizmem i rzeczowością argumentów. Występował jako reprezentant Związków Strzeleckich, ale jego przemówienia przekraczały zakres zadań, z tem jego stanowiskiem związanych. Tytuł Komendanta, wchodzący w tym czasie coraz bardziej w użycie, nabierał coraz poważniejszego znaczenia, rozumiano bowiem, że

Ziuk czy Mieczysław (ówczesny jego pseudonim) staje się Komendantem już nie samego tylko Strzelca, który rozwijał się, przełamując z wielkim mozołem wszelkie trudności finansowe i organizacyjne oraz szykany władz austriackich.

Wychodziliśmy kiedyś z posiedzenia Komisji Tymczasowej – Ziuk, Daszyński i ja – i na rogu ulic Dunajewskiego i Karmelickiej spotkaliśmy strzelca w mundurze, nieco różniącym się od zwykłego ówczesnego munduru strzeleckiego. Strzelec ten niósł w ręku szpicrutę. Ziuk, wskazując nań Daszyńskiemu, rzekł, uśmiechając się:

– Oto cała moja kawalerja... Konia mu tylko jeszcze brakuje...

Strzelcem tym był Belina-Prażmowski, słynny po wybuchu wojny zagończyk legjonowy i właściwy twórca pierwocin kawalerji polskiej.

Wojna wybuchła wcześniej, aniżeliśmy się wszyscy tego spodziewali. Przed Ziukiem – Komendantem stanęły nowe zadania, które miały go z czasem wysunąć na czoło narodu.



KOMENDANT



Bezpośrednio po historycznym zebraniu Komisji Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, dn. 6 sierpnia 1914 r., na którym Komendant oświadczył zdumionym zebranym, że w Warszawie utworzył się Rząd Narodowy, któremu się on podporządkowuje, Komendant zwrócił się do mnie z wyrazami:

- Chcę, abyś „narukował”...
- Kiedy?
- Zaraz...
- Dobrze...

Przystąpiłem więc niezwłocznie do zlikwidowania mego sekretarstwa w K.S.S.N., przekazując je wraz ze wszystkimi materiałami pani Helenie Radlińskiej. Przeszedłem tedy bezpośrednio pod rozkazy Komendanta.

Kiedy po owym zebraniu K.S.S.N. znaleźliśmy się w ściśle „swojem” gronie w mieszkaniu Walego Sławka przy ulicy Dunajewskiego, pierwszym zleceniem, jakie otrzymałem od Komendanta, była propozycja napisania odezwy owego „Rządu Narodowego” i sporządzenia do niej pieczętki z orłem i odpowiednim napisem.



O ile pierwsze nie nastęrczało żadnej trudności, o tyle to drugie nie było rzeczą łatwą. Odezwa została napisana i zaaprobowana przez Komendanta, następnie zaś wydrukowana konspiracyjnie w Drukarni Ludowej na specjalnie dobranym papierze. Pieczętkę podjął się wykonać w ciągu nocy towarzysz Stanisław Siedlecki („Eustachy”) – późniejszy senator Rzeczypospolitej, który istotnie za pomocą zwykłego scyzoryka wydlubał w miękkim kamieniu zgrabnego orzelka wraz z odpowiednim napisem.

Żadnych kwestyj, związanych z owym „Rządem Narodowym” w Warszawie, nikt z nas nie podnosił, choć przypuszczaliśmy, że była to konieczna – ze względu na sytuację – mistyfikacja, tembardziej, że, mówiąc o tym „rządzie”, Komendant miał wyraz oczu dość figlarny. Wówczas mieliśmy bezwzględne zaufanie do akcji Komendanta, a pozatem przejęliśmy się zupełnie serjo poczuciem obowiązku stosowania się bezwzględnie do jego rozkazów. Wkraczaliśmy już bowiem w okres wojny i związanej z nią dyscypliny, a Komendanta uważaliśmy za naczelnego wodza powstania.

Następne zlecenie, jakie otrzymałem od Ko-

mendanta, odnosiło się do zorganizowania małej drukarenki przy pierwszych oddziałach strzeleckich, mających wkroczyć do Kongresówki. Na tej drukarence mieliśmy bić odezwy do miejscowej ludności, wyjaśniające charakter naszych oddziałów i ich cele. Zaopatrzyłem się u Schiffa, dyrektora Drukarni Ludowej, w dostateczny asortyment czcionek, kaszty, wałek drukarski, farbę oraz zapas papieru – obok drobnych przyrządów drukarskich. Zecerem miał być wyżej wspomniany St. Siedlecki. Ta podręczna, prymitywna drukarenka jechała wraz z nami na jednej z furmanek, któremi udali się wślad za pierwszym oddziałem strzeleckim przykomenderowani do niego „cywile”, w tej liczbie i ja.

Kiedyśmy dotarli do Miechowa, pokazało się, że nasza drukarnia jest zupełnie zbyteczna wobec istnienia we wszystkich miasteczkach powiatowych Królestwa drukarni, w których można było z łatwością bić odezwy, co też wyzyskaliśmy niebawem w całej pełni, robiąc agitacyjne „szurumburum”, jak nazywał Komendant moją działalność w tym kierunku, rozmawiając z Marjanem Abramowiczem.

Po wkroczeniu do Królestwa poraz pierwszy



spotkałem się z Komendantem w Jędrzejowie, do-  
 kąd przyjechał jakoś mocno po północy. Zbudzo-  
 no nas wszystkich „cywilów” na zbiórkę. Komen-  
 dant przeszedł utworzonym przez nas szpalerem  
 z miną okrutnie marsową, która jednak znikła z  
 jego oblicza natychmiast, kiedyśmy się znaleźli w  
 osobnym pokoju w gronie zupełnie „swoich”. Przed  
 nami był teraz nie „wódz naczelny”, nawet nie  
 Komendant, ale ów dawny Ziuk, o dobrodusznym,  
 wesołym uśmiechu.

Po krótkim przeglądzie sił w Jędrzejowie Ko-  
 mendant wyjechał i następnym razem widziałem  
 go już w Kielcach, w parę chwil po wkroczeniu  
 oddziału strzeleckiego do tego miasta w dniu 12  
 sierpnia. Jechał z wizytą do biskupa Łosińskiego,  
 traktując go jako najwyższego w mieście dostoj-  
 nika. Nie zetknąłem się z nim wówczas osobiście.  
 Zresztą wyjechał on z Kielc niezwłocznie do Kra-  
 kowa i spotkałem się z nim dopiero nazajutrz, pod-  
 czas odwrotu z Kielc, pod Chęcunami, gdzie spot-  
 kał nas z większymi siłami i przygotowywał się do  
 pierwszej poważnej bitwy z nadciągającymi od-  
 działami rosyjskimi.

Zameldowałem się u Komendanta i oświad-  
 czyłem, że jako cywil nie mam tu na razie nic do

roboty, więc chyba odmaszeruję sobie do Jędrze-  
 jowa, na co się on też zgodził. Otrzymawszy od  
 szefa sztabu, Sosnkowskiego, odpowiednią prze-  
 pustkę, udałem się do Jędrzejowa i tam znowu w  
 najbliższych dniach spotkałem się z Komendantem.

Komendant kładł wielki nacisk na to, aby do  
 szeregów wciągano jak najwięcej żywiółów partyj-  
 nych, ppsowskich. Zalecał nam (między innymi  
 Perłowi), aby wznowić pracę partyjną, wciągnąć  
 jaknajwięcej ludzi do organizacji partyjnej i tą  
 drogą wprowadzać ich do szeregów wojskowych,  
 uważając, że te żywióły przedstawiają wśród  
 ochotników największą wartość ideową. Dlatego  
 też chętnie zwalniał z wojska jednostki do poli-  
 tycznej pracy agitacyjnej – i to nie tylko w P. P.S.,  
 ale i w Narodowym Związku Robotniczym.

Po powrocie do Kielc, gdzieśmy się zagospoda-  
 rowali na czas dłuższy, objąłem redakcję „Dzien-  
 nika Urzędowego Komisarjatu Wojsk Polskich”,  
 drukowanego w rządowej rosyjskiej drukarni, któ-  
 rą na oczekaniu przekształciliśmy na polską  
 „Drukarnię Państwową”. Jakkolwiek staraliśmy  
 się wytworzyć jaknajwięcej „faktów dokonanych”,  
 mających stwierdzić, że my jesteśmy właściwymi  
 gospodarzami zajętej przez nas polaci kraju, to



jednak czuliśmy, że sytuacja jest mocno niepewna politycznie.

Z dnia na dzień oczekiwaliśmy przeto zarządzeń władz austriackich, uniemożliwiających działalność potworzonych przez nas Komisarjatów Wojsk Polskich jako samodzielnych organizacji politycznych. Trzeba się więc było do tego zawczasu przystosować. Z tego powodu Komendant zwołał pewnego dnia ściśle zakonspirowane zebranie w Pałacu Gubernatorskim. Wzięli w niem udział: M. Sokolnicki, W. Jodko, Stanisław Thor, Al. Sulkiwicz ja i jeszcze może dwie-trzy osoby, których sobie nie przypominam. Po przedstawieniu sytuacji ogólnej i sytuacji w Naczelnym Komitecie Narodowym Komendant dowodził konieczności wytworzenia takiej miejscowej organizacji, którejby władze austriackie znieść nie mogły. Musi to być organizacja, złożona z ludzi koniecznie miejscowych, nie Galicjan, dość skromna liczebnie. Ma ona rozwijać czynności swe, nie wywołując wrażeń wielkiej siły. Faktycznie ma działać w związku z organizacją wojskową, ale nazewnątrż być niezależną od niej. Jej praktycznym celem ma być wytworzenie przedstawicielstwa zaboru rosyjskiego z ludzi, dobieranych na podstawie znajomości

stosunków miejscowych. Trzeba ułożyć listy osób, odpowiadających naszemu celowi. Organizację należy budować od dołu do góry według następującego schematu: 1. Komisarz miejscowy – kierownik całej administracji; 2. Komisarz powiatowy. 3. Zarząd – komisja gubernjalna; 4. Zarząd Główny – krajowy. Nazwa tej organizacji mogłaby brzmieć – „Organizacja pomocnicza Wojsk Polskich” (O.P.). Trzeba będzie ogłosić, że jest zupełnie niezależna od organizacji wojskowej. Istniejące dotychczas Komisarjaty Wojsk Polskich odrazu mają się przekształcić na Komisarjaty O. P. Zarząd główny O. P. składałby się z 3-5 osób. Jako ciało doradcze przy ciałach wyższych funkcjonowałyby zjazdy komisarzy miejscowych i zjazdy komisarzy powiatowych.

Dla urzeczywistnienia tego planu zwołane zostało zebranie „cywilów”, współdziałających z oddziałem strzeleckim, ale samych nie-Galicjan, wraz z szeregiem osobistości miejscowych, sympatyzujących z naszym ruchem. Na tem zebraniu założono planowaną przez Komendanta organizację, ale nadano jej nazwę Polska Organizacja Narodowa (P.O.N.). Na czele jej stanęli: Witold Jodko, Michał Sokolnicki i Iza Moszczeńska. Re-



dagowany przezemnie „Dziennik Urzędowy Komisarjatu Wojsk Polskich” został przekształcony z dniem 8 września na „Dziennik Urzędowy Polskiej Organizacji Narodowej”, który wychodził regularnie aż do powtórnego opuszczenia przez nas Kielc z dniem 10 września.

Komisarjaty P.O.N. ogarnęły wkrótce całą okupację austriacką i niemiecką, rozwijając żywą działalność organizacyjną, werbunkową i wydawniczą. Jednakże niepowodzenia armji austriackiej i ewakuacja Kielc, a później znacznej części Królestwa, okupowanego przez wojska austriackie i niemieckie, zmusiły działaczy P. O. N. do stopniowego wycofywania się z opanowanego już terenu.

Po ewakuacji Kielc tamtejsi działacze P.O.N. wraz z najbardziej skompromitowanymi pomocą, wyświadczaną Legjonom, jednostkami z miejscowego społeczeństwa znaleźli się na Śląsku austriackim. We Frysztać, w willi pani Kunickiej, stanął sztab P.O.N. Na Śląsk przeniósł się i Departament Wojskowy N.K.N. wobec ewakuacji Krakowa, pod który zbliżali się stopniowo Rosjanie.

Ja po opuszczeniu Kielc czas jakiś przebywałem w Krakowie jako komisarz P. O. N. na Kraków, później w Częstochowie i Piotrkowie, gdzie

jeszcze trzymały się organizacje P.O.N. i gdzie wychodziły jego organy. Mieliśmy informacje, że gotuje się wielka ofensywa niemiecka na Warszawę — że w tej ofensywie wezmą udział również oddziały legjonowe. W Częstochowie w związku z tem otrzymałem przez Sławka instrukcję Komendanta dla emisariuszy, jadących do Warszawy.

Miały tam być wysłane przez front trzy osoby (w tem moja żona, należąca do oddziału wywiadowczego i Brygady) dla zakomunikowania kierownikowi roboty konspiracyjnej — „Witoldowi” (Tadeuszowi Żulińskiemu) instrukcyj co do zarządzeń cywilno-agitacyjnych i wojskowych z powodu oczekiwanego zdobycia Warszawy. Ja miałem przeprowadzić rozmowę z Kunowskim i — w razie jego zgody na wyjazd do Warszawy — zakomunikować mu co następuje:

1. Ostatnie rozkazy o rozrzuceniu ludzi z miasta na prowincję cofa się;
2. Komunikuje się datę zajęcia Warszawy przez Niemców;
3. Należy skrętnie przeprowadzić wywiad o wycofaniu się Rosjan i o minach (mosty, drozecz);
4. Należy wykorzystać ostatni moment i nie



dopuszczyć do wysadzenia obiektów podminowanych, bądź niszcząc oddziały, pozostawione do wysadzenia, bądź wydobywając same miny;

5. Podczas przerwy między wyjściem Moskali a przyjsciem Niemców należy obsadzić Zamek, Belweder i arsenał, oraz zabrać resztę broni po koszarach i wywiesić maximum sztandarów z białym orłem;

6. Wysłać na spotkanie Niemcom oddziałek ze sztandarem;

7. Szerzyć wieści, że tuż-tuż są nasi;

8. Wydać kartki, nawołujące do serdecznego przyjęcia żołnierzy polskich i manifestacyjnego ich spotkania przez deputacje ludności;

9. Wywołać pewne efekty (wysadzenie pomnika na Zielonym placu i t. p.)

Kunowski wyjechał z temi instrukcjami do Warszawy, ale, tak samo jak i moja żona – przybył tam już po odwróceniu wojsk niemieckich, kiedy sprawa zdobycia Warszawy stała się na dłuższy czas nieaktualną.

Osiadliśmy na parę tygodni we Frysztacie, dokąd przyjechał jakoś w połowie listopada Komendant. Zatrzymał się w willi pani Kunickiej, zdaje się na jeden dzień. Były to czasy bardzo

ciężkie. Pani Kunicka otrzymała od miejscowych władz austriackich wiadomość, że możliwym jest, iż Rosjanie wejdą na Śląsk przez Węgry, dokąd poczęli się wdzierać przełęczami karpaccy. Cała impreza legjonowa przedstawiała się w barwach dość ponurych i tylko niektórzy z nas, zgromadzonych we Frysztacie, nie tracili nadziei. Daszyński, który się też tam owego dnia pobytu Komendanta znalazł, ubolewał nad dalszemi losami tego ostatniego.

– Cóż, będzie chyba musiał wyemigrować do Ameryki – powiedział z wielkim smutkiem.

Należałem wówczas (jak zawsze) do optymistów. Nie dawałem się bynajmniej opanować nastrojom katzenjammerowym i żywo krzątałem się koło wydawnictwa broszur P.O.N. w miejscowej drukarni. Widziałem też z zadowoleniem, że Komendant zupełnie nie traci otuchy i zachowuje dobry humor. Podczas obiadu u pani Kunickiej żartobliwie opowiadał o dobrodziejstwach, jakie mają nań spaść z powodu otrzymania austriackiego odznaczenia wojskowego.

Niepowodzenia armij państw centralnych przyczyniły się do stopniowego zamierania P. O. N. Na zjeździe przedstawicielej tej ostatniej, odbyłym w



Wiedniu w grudniu 1914 r. zapadła uchwała zlania się jej z N. K. N.-em, przyczem kilku członków P.O.N. miało wejść w skład jego. Sokolnicki objął sekretarjat generalny N. K. N. i wciągnął mię do pracy N.K.N.-owej.

Pozostałem więc w Wiedniu, gdzie podówczas przebywał N.K.N., ewakuowany z Krakowa, i po pewnym czasie objąłem stanowisko w redakcji pisma propagandowego „Polen”, redagowanego przez M. Goldscheidera, a inspirowanego przez prezesa N.K.N. profesora Władysława Leopolda Jaworskiego.

W Wiedniu pod koniec grudnia zetknąłem się przelotnie z Komendantem, na cześć którego N.K.N. wydał bankiet. Na tym bankiecie nie byłem z braku odpowiedniego ubrania, przyjechałem bowiem do Wiednia w nawpół wojskowym frenchu, który był jedyną moją szatą. Ale o bankiecie tym słyszałem dużo opowiadań. Charakterystyczną była odpowiedź Komendanta Gustawowi Daniłowskiemu, który podczas bankietu zabrał głos i wypowiedział ubolewanie z tego powodu, że człowiek, na którego są zwrócone oczy całego narodu, naraża swe życie, walcząc w pierwszej linii okopów. Komendant skarcił przedewszystkiem

Daniłowskiego, który, będąc żołnierzem, ośmiela się krytykować postępowanie swego przełożonego, następnie zaś podniósł, że, jeśli społeczeństwo nie mogło się zdobyć na coś większego jak ten legion, którego on jest komendantem, to i on musi spełniać obowiązki komendanta tej drobnej siły zbrojnej i nie może odgrywać roli wodza wielkiej armji.

Przez cały czas pobytu w Wiedniu t. j. aż do powrotu N.K.N. do Krakowa w czerwcu 1915 r. nie stykałem się bezpośrednio z Komendantem i nie miałem z nim kontaktu osobistego nawet pośrednio. Stosunki te wznowione zostały dopiero po osiedleniu się mojem w Krakowie, gdzie objąłem od lipca 1915 biuro Sekretarjatu generalnego N. K. N. i gdzie – poza tem – brałem czynny udział w pracach „lewicy” N.K.N., popierającej konsekwentnie działalność Komendanta i jego zabiegi w walce o polskość i możliwą samodzielność Legionów.

Kontakt mój z Komendantem ożywił się znacznie w roku następnym. Przebywającego wówczas na froncie wołyńskim zaopatrywałem w informacje wszelkiego rodzaju.

Stosunek między nim a N. K. N. zaogniał się coraz bardziej, tak, że Komendant postanowił



wreszcie postawić ultimatum i wycofać swoich ludzi z Departamentu wojskowego. W tej sprawie otrzymałem od niego w końcu czerwca 1916 list następujący:

POZYCJA POD WOLCZECKIEM 26/VI 1916.

Mój drogi,

List ten dasz do przeczytania Radlińskiej i w odpisie prześlij go do Ulrycha oraz do Piotrkowa do Pietrka.\*)

Za wszystkie raporty i listy serdeczne dzięki, cieszę się ogromnie, że możemy tak ściśle komunikację pomiędzy sobą utrzymać i że w ten sposób ściślej się wiąże wspólna praca.

Instrukcja jest następująca: Ulrych ma zażądać odprawy obiecaną, koniecznie z prezesem, przynajmniej do 15 lipca, w przeciwnym razie 15 lipca wszyscy i urzędnicy i oficerowie podają się do dymisji. Jeżeli odprawę obiecują, wówczas zrobić (ustępstwo) i zostać do rozprawy. Jeżeli kogośkolwiek do tego czasu wyrzucą, też ogólna dymisja.

\*) Piotra Góreckiego.

W razie odprawy: żądać jak zwykle a) cywilnego departamentu, b) usunięcia się od K Stelle, c) usunięcia się od wewnętrznej polityki Królestwa. Zachowanie się ma być następujące: W razie, jeśli do tego czasu usuną się lub będzie pewnem, że się usuną, Sikorski, Downarowicz i Kot, nie być nieustępliwymi i godzić się z wyjaśnieniami – decyzję w tym kierunku o tem, czy pewnem jest usunięcie się wymienionych osób, ma Ulrych. W przeciwnym wypadku, to znaczy, gdy jest pewność zostania tych nieobliczalnych maniaków „idei legjonowej”, podać dymisję wszystkich.

W tym wypadku oficerowie i szeregowcy wracają do pułków, urzędnicy idą do C. K. N. na pracę. Teraz już wysłać do Warszawy do Sławka kogokolwiek dla omówienia szczegółów pracy każdego. Sławek jest uprzedzony o tem.

Ty i Sokolnicki zostajecie na stanowisku dotychczasowem. Sprawę zachować w sekrecie nie rozbębnić jej przed czasem.

Uścisk dłoni

Ziuk



W tym czasie Legjony krwawiły się na Wołyniu. Wielka ofenzywa Brusilowa zwróciła się między innymi przeciwko pozycjom, bronionym przez legjonistów. Na początku lipca rozpoczęły się okrutne boje, które trwały kilka tygodni. Dopiero pod sam koniec lipca, po rozprawie o Rudkę Miryńską nad Stochodem, legjony zaznały pewnego spokoju i Komendant wznowił, przerwana przez walki w polu, akcję o usamodzielnienie Legjonów, zakończoną w końcu września jego dymisją.

Po dymisji Komendant wrócił do Krakowa, do dawnego swego mieszkania na Szlaku, oczekując rezultatów swego kroku. I znowu wszedłem w bezpośredni z nim kontakt, bywając u niego prawie codziennie, informując o tem, co się dzieje w N. K. N. i t. d.

Komendant przez kilka dni wyczekiwał, jak się austriackie władze wojskowe zachowają wobec jego dymisji. Sprawdzianem miał być ich stosunek do Szefa – Sosnkowskiego. Jeśli go pozostawią w spokoju, – mówił – znaczy to, że pójdą na ustępstwa, jeśli przyjmą jego dymisję, o ustępstwach niema mowy. Dymisja Sosnkowskiego stała się faktem dokonanym, ale stanowisko Austrii wobec Legjonów poczęło ulegać pew-

nym zmianom. Komendant traktował je bardzo sceptycznie i zajął stanowisko wyczekujące.

Podczas rumuńskiej ofensywy Mackensena w r. 1916 bywałem prawie codziennie u Komendanta na Szlaku. Bacznie śledziliśmy na mapie postępy tej ofensywy, którą Komendant oceniał zupełnie beznamiętnie pod względem politycznym, wyłącznie ze stanowiska strategiczno-wojskowego. Przy tej sposobności poruszał sprawy ofensywy wogóle i mówił, że ma zupełnie gotowy plan ofensywy na Rosję, z którego – jak twierdził żartobliwie – Hindenburg powinien byłby skorzystać. Rozwijał też dość szczegółowo ten plan, co mnie, przyznam się, mało interesowało – nie tylko jako laika w sprawach wojskowych, ale i ze względu na zupełną nierealność takiego planu w ówczesnej sytuacji. Pamiętam tylko, że poważną rolę w tym planie odgrywało zajęcie twierdzy bobrujskiej.

Wówczas wciąż szerzyły się pogłoski o „Separatfrieden” między państwami centralnymi a Rosją. W związku z tem wyraziłem pewnego razu pogląd, że przy zawarciu pokoju odrębnego Rosja napewno zatrzyma tę część Wschodniej Ga-



licji (Tarnopolszczyznę), która jej dotychczas nie została odebrana. Na to Komendant z całą stanowczością odpowiedział, że Rosja ani kawałka ziemi z zajętego Podola nie zatrzyma i będzie musiała je oddać.

Wkrótce potem został wydany akt 5 listopada i Komendant – ku powszechnemu zdumieniu – został mianowany z inicjatywy rządu austriackiego członkiem Tymczasowej Rady Stanu. Udał się też natychmiast do Warszawy, aby zająć to stanowisko.

Akt 5-go listopada był dowodem ostatecznego bankructwa austriackiej koncepcji rozwiązania sprawy polskiej. Rola N. K. N.-u była skończona, jakkolwiek większość jej członków nie mogła się z tem pogodzić. Oczywiście lewica N. K. N., zajmująca w nim stanowisko opozycyjne i idąca za Komendantem i jego wskazówkami, nie podzielała złudzeń większości enkaenowej i wysnuła z tego konsekwencje.

Z wystąpieniem lewicy z N. K. N. usunąłem się również z tej instytucji i zostałem wezwany przez Komendanta do Warszawy, na razie do pracy w Centralnym Komitecie Narodowym, któ-

ry skupiał w sobie siły partij lewicy Królestwa Polskiego – z P. P. S. na czele.

W Warszawie stanąłem w styczniu 1917. Zgłosiłem się u Sławka, który był mężem zaufania Komendanta w C. K. N., i wzięłem się do pracy w tym ostatnim, zaopatrzonej przez P. O. W. w fałszywy paszport, umożliwiający mi pobyt na okupacji niemieckiej. Wkrótce jednak zorientowałem się, że wobec nadmiaru inteligencji w C. K. N. nie dużo mam w nim do roboty, mógłbym więc zająć inne, pożyteczniejsze stanowisko. Poparty energicznie przez towarzysza Kunowskiego, członka Tymczasowej Rady Stanu, wszedłem jako urzędnik do jej departamentu politycznego i objąłem tam referat „statystyczny”

Pod tem mianem ukrywały się wszystkie sprawy kresowe i narodowościowe, któremi się teraz zająłem, gromadząc materiały i opracowania, dotyczące przyszłego rozstrzygnięcia spraw tych ze stanowiska państwowości polskiej. Jednocześnie brałem udział w pracach C. K. N. i w robocie P. O. W., pozatem informowałem o sytuacji w Królestwie centralę niepodległościową w Galicji, posyłając na ręce pani Heleny Radlińskiej do Krakowa wiadomości o tem, co się działo



w obozie niepodległościowym okupacji niemieckiej, i byłem stałym korespondentem z Warszawy krakowskiego „Naprzodu”.

Z Komendantem stykałem się w Warszawie dosyć często, zwłaszcza jeśli miałem mu coś do zakomunikowania, albo też w razie konieczności zasięgnięcia języka u niego w jakiejś kwestji. Wpadałem do niego na Służewską, gdzie mieszkał z Sokolnickim, albo widywałem się z nim w pałacu Kronenberga lub odprowadzałem go stamtąd do domu, gawędząc na rozmaite tematy dnia podrodze.

Wybuch rewolucji w Rosji Komendant ocenił odrazu jako fakt niesłychanej doniosłości i punkt zwrotny w całej naszej polityce. Rosja, jako najpoważniejsza siła w naszych obliczeniach politycznych, ten nasz wróg największy – na dłuższy przeciąg czasu ustępowała z pola. W tym okresie można się było nie liczyć z bezpośrednim niebezpieczeństwem rosyjskim i należało teraz zwrócić całą energję przeciwko dwom innym okupantom. Komendant dziwił się, że ogół niepodległościowców nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy, i tłumaczył wszystkim z całym naciskiem znaczenie rewolucji rosyjskiej. Dla wyluszczenia le-

wicy konieczności zwrotu w polityce – zwrotu, uzasadnionego wypadkami w Rosji, zwołał do siebie, na Służewską, specjalne zebranie wybitnych działaczy-lewicowców, na którym wyłożył swoje stanowisko obszernie i z naciskiem. Na tem zebraniu byli, o ile sobie przypominam, Artur Śliwiński, St. Thugutt, W. Sieroszewski, M. Sokolnicki i inni.

Wiadomościami z Rosji począł się teraz interesować jeszcze bardziej niż poprzednio, wysnuwając z nich pewne wnioski praktyczne.

W lecie 1917 r. prawie codziennie bywałem w lokalu Komisji Wojskowej przy ul. Mazowieckiej, gdzie Komendant wówczas urzędował i gdzie koncentrowało się załatwianie wszystkich poufnych spraw P. O. W. Pewnego dnia otrzymałem numer „Nowej Reformy” krakowskiej z wiadomością, że na pierwszym zjeździe wojskowych Polaków w Rosji Komendanta obrano honorowym prezesem, uznając go w ten sposób niejako za wodza całej armji polskiej. Z tym numerem wpadłem do gabinetu Komendanta i doręczyłem mu go. Komendant odczytał odnośny ustęp z wielkiem zainteresowaniem i zaraz podzielił się nowi-



ną z obecnym tam Hutten-Czapskim, reprezentantem rządu niemieckiego przy Radzie Stanu.

– Puśćcie mnie panowie do Rosji – mówił żartem – a zobaczycie, co z tego wyniknie.

Nie przypuszczałem jeszcze wówczas, że w tym żarcie tkwił załączek projektu, który Komendant pragnął wcielić później w życie.

W dobie kryzysu przysięgowego prawie codziennie bywałem w pensjonacie państwa Kwiatkowskich, gdzie się Komendant stołował wraz z Sosnkowskim i Sławkiem. Zwykle po obiedzie stykałem się z nim, komunikując mu wiadomości, otrzymywane z różnych stron. Na kilka dni przed aresztowaniem Komendant w żartobliwej pogawędce poobiedniej pokpiwał sobie z Szefa (Sosnkowskiego), twierdząc, że Niemcy powinni go aresztować... – Mnie nie ośmielą się chyba ruszyć, ale Szefa zamkną, zobaczycie – mówił.

Przepowiednia ta nie sprawdziła się: Niemcy zamknęli i wywieźli obydwóch – i Komendanta i Szefa.

Wkrótce po aresztowaniu ich, w czas przestrzeżony, że i mnie czeka to samo, wyjechałem z Warszawy do Krakowa, gdzie przebywałem aż do ostatecznej likwidacji władzy okupantów na zie-

miach polskich, biorąc czynny udział w kierownictwie ruchu niepodległościowego, opierającego się na P. O. W. Wchodziłem w skład Konwentu organizacji A, który był właśnie tajnym, pozapartyjnym kierownictwem ruchu niepodległościowego.

Organizacja ta powstała z inicjatywy Komendanta, który uznał, że należy stworzyć dwie tajne organizacje – A i B. Pierwsza z nich grupowała by wszystkie żywiły lewicowe ruchu niepodległościowego t. j. jednostki kierownicze i wpływowe z poszczególnych partyj lewicowych, druga skupiałaby analogiczne jednostki z prawicy. Obie grupy nie stykałyby się ze sobą bezpośrednio, ale obydwie podlegałyby Komendantowi, któryby w ten sposób mógł kierować przez A i B całym ruchem niepodległościowym. W tych sprawach „mafijnych”, jak je Komendant nazywał, odsyłał on zainteresowanych do Szefa. Aresztowanie jednego i drugiego nastąpiło w momencie, kiedy ani A ani B nie przybrały były jeszcze zupełnie konkretnej postaci. Na czele organizacji A stanęli Moraczewski i Śmigły. Konwent tej organizacji odegrał z biegiem czasu bardzo wybitną rolę w ruchu niepodległościowym. Natomiast organi-







zacja B, którą miał się zająć p. Staniszewski, zupełnie nie udała się.

Konwent, złożony z szeregu jednostek wybitnych i przedsiębiorczych, występował jako zastępstwo uwięzionego Komendanta i podjął – w oparciu o P. O. W. – i przy pomocy partyj lewicowych, na które miał wpływ – cały szereg akcji, które wkońcu doprowadziły do rozbrojenia okupantów i utworzenia rządu ludowego w Lublinie. Konwent czynił też, między innym, kroki w celu uwolnienia Komendanta z twierdzy magdeburskiej, co się jednak zupełnie nie powiodło. Dopiero klęska ostateczna państw centralnych i rewolucja w Niemczech dały w swych wynikach wolność Komendantowi, któremu mieliśmy przekazać po jego powrocie uzyskane przez nas wpływy.

Na początku listopada 1918 r. oczekiwaliśmy z dnia na dzień powrotu Komendanta. Nadchodziły pogłoski, że Komendant już jest wolny, że jedzie do kraju, że tego a tego dnia stanie w Warszawie. Wobec tego wybrałem się z Krakowa do Warszawy, aby go spotkać. Niestety, nie przyjechał tego dnia, kiedy go oczekiwałem, więc wróciłem do Krakowa, gdzie niebawem do-

wiedziałem się, że Komendant od dnia 10 listopada już jest w Warszawie. Napisałem więc do niego list, w którym zapowiedziałem mój przyjazd wraz z propozycją omówienia sprawy utworzenia takiej instytucji, któraby się zaopiekowała kwestjami narodowościowymi i kresowemi w Polsce, co uważałem za niezmiernie ważne. Liczyłem na to, że Komendant mnie właśnie powierzy tworzenie takiej instytucji, czegoś w rodzaju ministerstwa spraw narodowościowych.

Stało się jednak inaczej. Kiedym przyjechał do Warszawy i powitał w mieszkaniu państwa Stamirowskich przy ul. Mokotowskiej zmęczonego i niewyspanego Komendanta, nie było sposobności podniesienia interesującej mnie sprawy, bo na porządku dziennym stały inne, wówczas daleko pilniejsze, kwestje. A w kilka dni później – 18 listopada – zostałem mianowany na wniosek Moraczewskiego ministrem spraw zagranicznych.

Na tem stanowisku z natury rzeczy kontakt mój z Komendantem (jak go w dalszym ciągu nazywali jego dawni współpracownicy, powołani teraz na najwyższe stanowiska w tworzącem się państwie) był bardzo ścisły. Widywaliśmy się prawie codziennie, a ponieważ nawał prac nie po-



zwał Komendantowi na ciągle obcowanie z rządem w całości, przeto umówiliśmy się, że będziemy jaknajczęściej odbywali posiedzenia czy konferencje we trójkę – on, Moraczewski i ja. I tak to trwało z małymi przerwami aż do końca gabinetu Moraczewskiego.

Pobył w Magdeburgu, w najzupełniejszym odcięciu od tego, co się działo w kraju, nie mógł nie wytworzyć wielkich luk w informacjach, jakie Komendant posiadał. Skarżył się na to nieraz, rozumiejąc, jak mu to utrudnia działanie.

Zaraz na początku naszych prac państwowych Komendant wezwał mnie, Moraczewskiego i innych członków Konwentu organizacji A na zebranie, na którym z poza Konwenta był jeszcze Walery Sławek (świeżo wypuszczony z więzienia niemieckiego), który został formalnie do naszego grona przyjęty. Zupełnie niespodzianie dla nas Komendant wygłosił przemówienie, w którym, dziękując nam za naszą pracę niepodległościową podczas jego nieobecności w kraju, podnosząc ogólnikowo jej doniosłość („niektóre rzeczy przeprowadziliście wprost wspaniale”) i, ganiąc utworzenie rządu lubelskiego, zwrócił się wkońcu do nas z bardzo ostrem wezwaniem „użycia bicia na

samych siebie”. Wezwanie to nie bardzo było dla nas wszystkich zrozumiałe. Zwłaszcza dotknęła nas ostra jego forma – tak, że, kiedyśmy się już rozstali z Komendantem, Moraczewski odezwał się:

– Komendant zupełnie niepotrzebnie to wszystko mówił.

O ile mogliśmy zrozumieć to wezwanie, „bicz na samych siebie” miał polegać chyba na samoograniczeniu się w wysuwaniu daleko idących postulatów *społecznych* lewicy, której wszyscy my właściwie byliśmy wówczas reprezentantami.

Było to niechybnie w związku z planem, który Komendant nakreślił dla pracy gabinetu Moraczewskiego. Gabinet ten miał być w gruncie rzeczy niejako prowizoryczny. Miał on opracować ordynację wyborczą na podstawie 5-cioprzymiotnikowego głosowania i podać się potem do dymisji, przyczem jego członkowie mieli się rzucić z całą energią w wir walki wyborczej, aby ewentualnie powrócić już do rządu w charakterze przedstawicieli społeczeństwa, obdarzonych jego zaufaniem. Tymczasem, aż do zebrania się sejmu, rządziłby gabinet przejściowy, bezbarwny politycznie, złożony z fachowców urzędników, któryby później ustąpił normal-



nemu gabinetowi parlamentarnemu, przypuszczalnie koalicyjnemu. Poza opracowaniem ordynacji wyborczej gabinet Moraczewskiego ustaliłby pewne podstawowe normy: 8 godzinny dzień pracy, zasady ubezpieczeń społecznych. Kwestja rolna miała być odłożona do decyzji sejmu.

Kraj znajdował się wówczas w stanie wrzenia. Z jednej strony Narodowa Demokracja i ciężące ku niej żywioły, niezadowolone z usunięcia ich od władzy, szerzyły ferment antyrządowy w społeczeństwie, najzupełniej zdezorientowanym i nieprzygotowanym do bytowania we własnym, dopiero tworzącym się państwie. Z drugiej strony komuniści, zachwyceni przykładem Rosji, dążyli do przewrotu rewolucyjnego, uzyskując wpływy na masy, trapione bezrobociem. Wszystko to wywoływało poczucie niepewności, skutkiem czego żyliśmy w atmosferze ustawicznych alarmów. Raz poraz meldowano nam o sprzysiężeniach, przygotowanych zamachach to z lewej to z prawej strony. Przeważnie jednak nie traktowaliśmy tych pogłosek i meldunków serjo. Kiedyś, po otrzymaniu nowego ostrzeżenia, Komendant w rozmowie ze mną powiedział:

– Ach, jakby to było dobrze, gdyby tak bol-

szewicy urządzili jakiś zamach na mnie, rzucili bombę czy coś podobnego...

Wyraziłem wątpliwość, czyby to było „dobrze”, na co Komendant z humorem odpowiedział:

– Naturalnie, zamachby się nie udał, ale jakiby to efekt wywołało zagranicą! Odrazu musiano się przekonać, że wszystko, co się mówi o bolszewizmie rządu Moraczewskiego jest głupstwem.

Trzeba dodać, że żywioły narodowo-demokratyczne z jednej strony, Czesi zaś – z drugiej jaknajusilniej szerzyli w opinii państw Ententy to mniemanie, jakoby Piłsudski wraz z całym rządem – to sami bolszewicy (oraz germanofile), co nam bardzo utrudniało ustalenie normalnych stosunków z Ententą. A to ostatnie było od początku istnienia rządu Moraczewskiego jedną z największych trosk naszych. Sprawy te omawialiśmy bez ustanku, przyczem powstawały najrozmaitsze projekty załatwienia tego zagadnienia.

Komendant uznawał za nieodpowiednie obsadzanie stanowisk w M. S. Z. przez ludzi, znanych z wybitnie aktywistycznych przekonań w niedalekiej przeszłości. Uważał, że obecność ich w ministerstwie może być wyzyskiwana przeciwko nam



przez żywiły nam wrogie z Komitetu Narodowego w Paryżu. Nalegał wobec tego na mnie w kierunku usunięcia ich (między innymi B. i F.), czemu stanowczo się oparłem.

Komendant od samego początku zajął się oczywiście sprawami wojskowymi, uważając stworzenie armji za podstawową gwarancję istnienia i rozwoju państwa, ze wszystkich stron zagrożonego przez przeważające siły militarne. Jedną z trosk jego była sprawa przysięgi wojskowych miał bowiem pewne obawy, a raczej wątpliwości, czy odbędzie się wszędzie gładko i przywiązywał do tego wielką wagę, uważając, że to uprości sytuację i utrwali rząd. To też cieszył się bardzo z nadchodzących z prowincji wiadomości o pomyślnem załatwieniu tej sprawy.

Posiedzenia rady ministrów odbywały się codziennie, zwykle od 6-tej popołudniu, i trwały nieraz do północy. Przewodniczył z reguły Moraczewski, zdumiewając zebranych nie tylko wyrobieniem parlamentarnym, ale i szerokością zakresu kompetencji w najrozmaitszych sprawach. Komendant na radach ministrów nie bywał, ale pozostawał w ustawicznym kontakcie z gabinetem. Moraczewski i ja miewaliśmy codzienne pra-

wie konferencje z nim, na których omawialiśmy sytuację i ustalaliśmy plan działalności na przyszłość.

Z biegiem czasu te nasze konferencje 3-ch przybrały następującą formę. Zwykle po ukończonym posiedzeniu rady ministrów ja i Moraczewski udawaliśmy się przysłać po nas autem do Belwederu. Najczęściej bywało to koło północy. Konferencje nasze z Komendantem odbywały się w jego sypialni, przy herbacie. Komendant najczęściej kładł się do łóżka i rozmawialiśmy z nim zwykle do 2-3 po północy. Nieraz byliśmy tak znużeni całodzienną orką, że formalnie zasypialiśmy. Dla nas było to tem uciążliwsze, że nazajutrz o 9-tej rano byliśmy już przy biurkach ministerjalnych, gdy Komendant wstawał dość późno i zresztą był od wielu lat przyzwyczajony do pracy nocnej.

Tak trwały nasze prace w najściślejszem porozumieniu z Komendantem aż do pierwszych dni stycznia 1919 r. Nie tu miejsce na szczegółową charakterystykę epizodów tej pracy, zresztą nie nadeszła jeszcze pora na wszechstronne ujawnienie pewnych rzeczy z owych czasów. Ograniczam



się więc jedynie do faktów charakteru osobistego.

Oddawna zapowiedziany zamach prawicowy – doszedł wreszcie do skutku w nocy z 4-go na 5-ty stycznia 1919 r. Dnia tego, jak zwykle, około północy przyjechaliśmy wraz z Moraczewskim – po skończonem posiedzeniu rady ministrów – do Belwederu. Pozostawaliśmy tam parę godzin, przy czem Komendant zakomunikował nam szczegóły w największej tajemnicy przygotowywanej odsieczy Lwowa. To też pierwszą moją myślą, kiedy nasze auto zostało w drodze powrotnej zatrzymane w Alejach Ujazdowskich przez uzbrojonych drabów, było: Lwów przepadł. Wówczas też przypomniałem sobie, że, opuszczając Belweder, zauważyłem dziwną pustkę w szatni: na szaragach nie było licznych zwykle płaszczy oficerskich. Wywnioskowałem z tego teraz, że Belweder został podstępnie ogołocony z przebywających tam oficerów, i że Komendant może skutkiem tego łatwo wpaść w ręce spiskowców. To też, kiedy nas przywieziono do garażu w Alejach Jerozolimskich, z niepokojem oczekiwałem, że lada chwila wprowadzą tam i aresztowanego Komendanta.

W trakcie likwidacji spisku Komendant poje-

chał nas szukać jeszcze tej samej nocy i zjawił się w garażu, skąd nas już na krótko przedtem przewieziono do lokalu „Rozwoju”. Tam dopiero rano znalazł nas Berbecki, który po uwolnieniu wszystkich odwiózł nas do Belwederu, gdzieśmy się przywitali z Komendantem, cieszącym się, że nas widzi całych i zdrowych, i że całą aferę udało się zlikwidować tak szybko i gładko.

Zamach styczniowy skompromitował spiskowców i osłabił pozycję narodowych demokratów. Paderewski, wezwany przez Komendanta do Warszawy z Krakowa, dokąd udał się na czas zamachu\*), działał uspokajająco na swoich zwolenników. W ten sposób po nieudanym zamachu stano-

\*) Komendant nam opowiadał, że kiedy w przeddzień zamachu zakomunikował Paderewskiemu, że stanowczo nie pójdzie na proponowaną mu przez Stanisława Grabskiego koncepcję rządu (specyficznie przez narodowych demokratów proponowanej „koalicji”, Paderewski nagle zbladł, pot mu wystąpił na czoło i był bliski omdlenia. Komendant to tłumaczył tem, że Paderewski wiedział, iż odrzucenie propozycji Grabskiego oznacza usunięcie gabinetu Moraczewskiego w drodze zamachu. To go też skłoniło do natychmiastowego wyjazdu do Krakowa.



wisko naszego gabinetu znacznie wzmocniło się. Na zapytanie Komendanta – co słyhać? ja i Moraczewski niezmiennie odpowiadaliśmy: – źle, utrwalamy się! Bo właściwie sprawa naszej dymisji była już przez nas samych wówczas przesądzona: bojkotu finansowego sfer zamożnych nie mogliśmy przełamać, do bicia asygnat nie byliśmy technicznie przygotowani i dalsze nasze pozostawanie u władzy mogło doprowadzić do niewypłacenia na 1-go lutego pensji urzędnikom. Myśmy też osobiście byli tak wymęczeni i wyczerpani nadludzką orką, że dymisja byłaby dla nas wprost fizycznym wyzwoleniem. Kiedyśmy ostatecznie zgłosili Komendantowi naszą dymisję, ten, godząc się na nią, zauważył nie bez melancholji:

– A szkoda, już się wszystko jakoś poczęło układać, nawet stosunki z Ententą – i teby się ułożyły...

W parę dni po dymisji gabinetu zebraliśmy się wszyscy ministrowie w zakładzie fotograficznym Gürtlera na Nowym Świecie, gdzie powstała często później reprodukowana grupa gabinetu Moraczewskiego z Komendantem pośrodku. Na foto-

grafji tej znalazł się również adjutant Komendanta, Świrski.

Na pożegnanie zebraliśmy się wkrótce potem w jakiejś restauracji, w oddzielnym pokoju. Byliśmy tego dnia jedynymi gośćmi tego lokalu, gdyż podówczas trwał strejk kelnerów, i w trakcie naszej wieczerzy Moraczewski musiał interwenjować u delegacji kelnerskiej, aby nam nie przeszkadzano.

Nastrój nasz nie był świetny. Zmuszeni bojkotem finansowym sfer zamożnych, ulegających agitacji endeckiej, do przedwczesnej dymisji, byliśmy mocno przygnębieni, czemu, między innem, daliśmy wyraz w naszych przemówieniach. – Moraczewski i ja. W odpowiedzi na to Komendant zabrał głos i w sposób bardzo stanowczy zastrzegł się przeciwko pesymistycznej ocenie naszego dorobku. Nie widział żadnego powodu do katzenjammeru. Spełniliśmy swój obowiązek, wywiązaliśmy się z naszych zadań i możemy być dumni z osiągniętych wyników. Przemówienie to bardzo nas podniosło na duchu i po niem zapanował już inny odmienny, nastrój.

W toczącej się przy skromnym stole biesiadnym rozmowie Komendant mówił o sytuacji.



Kiedy podniósł, że dla ratowania Lwowa musiał – z braku sił – dopuścić do zajęcia przez bolszewików ukochanego Wilna, łzy mu stanęły w oczach. Pierwszy (i ostatni) to raz widziałem Komendanta płaczącego.

– Ależ Wilno odbierzemy – powiedziałem.

– Tak, ale co się ono przez ten czas nacierpi odparł Komendant.

Premjerem nowego gabinetu miał zostać Paderewski, który też miał objąć tekę ministra spraw zagranicznych. Co do obsadzenia innych resortów mieliśmy to omówić między sobą i z Komendantem.

W jednej z sal na Zamku odbywały się narady rad składem nowego gabinetu, w pokoju obok siedział Komendant i czekał na wynik tych narad. Ponieważ otrzymaliśmy zapewnienie, że do gabinetu Paderewskiego nie wejdzie żaden partyjny endek, przeto, kiedy nadeszła wiadomość, że w Łodzi, na pierwszym miejscu sejmowej wyborczej listy endeckiej stoi p. Skulski – kandydat na ministra spraw wewnętrznych, powstała kwestja, kim obsadzić tę tekę, bo Skulski stał się niemożliwym. Wówczas Komendant wysunął kandydaturę Stanisława Wojciechowskiego, ale ta pro-

pozycja wywołała ostry sprzeciw Tomasza Nocznickiego, który wystąpił z zarzutem przeciwko Wojciechowskiemu, oskarżając go o zbyt bliskie stosunki z endekami w Petersburgu podczas wojny.

Wpadłem do Komendanta z wiadomością o opozycji Nocznickiego. Był tem mocno zirytowany.

Wróciłem na salę obrad i, wzięwszy Nocznickiego na stronę, począłem mu tłumaczyć, że nie ma słuszności, że Wojciechowski obecnie zajmuje zupełnie inne stanowisko, że cieszy się całkowitem zaufaniem Komendanta i t. d. Wkońcu udało mi się starego przekonać. Cofnął on swój sprzeciw, o czem nie omieszkalem zaraz zawiadomić Komendanta.

Westchnął z głęboką ulgą: nic już nie stało na przeszkodzie utworzeniu nowego gabinetu, do którego weszła prawie połowa członków poprzedniego – bezpartyjnych.



NACZELNIK PAŃSTWA



Po dymisji gabinetu Moraczewskiego Komendant zakomunikował Paderewskiemu, że na delegatów na konferencję pokojową w Paryżu mianuje Dmowskiego i mnie, co zostało natychmiast zakomunikowane temu pierwszemu, który zameldował to w biurze kongresu. Dowiedziawszy się post factum o decyzji Komendanta, prosiłem go, aby mię z tego ciężkiego obowiązku zwolnił. Obawiałem się wziąć na siebie tak wielką odpowiedzialność i czułem się nieprzygotowanym do działania na nieznanym mi terenie. Natomiast zgodziłem się wejść w skład delegacji Naczelnika Państwa do Komitetu Narodowego – delegacji, która pod przewodnictwem dra Kazimierza Dłuskiego udała się była do Paryża. Drugim delegatem Polski na konferencję pokojową został właśnie dr. Dłuski.

Kiedym wyjeżdżał do Paryża, Komendant w dłuższej rozmowie ze mną (dn. 6-go II) udzielił mi instrukcyj, podkreślając przytem, że mnie, jako zupełnie swojemu człowiekowi, mówi i to, czego nie mówił innym członkom Delegacji. A więc



uważał, że musimy w Paryżu dążyć przedewszystkiem do zlikwidowania Komitetu Narodowego, ażeby zniszczyć w ten sposób wszelkie pozory istnienia jakiejś drugiej władzy polskiej – zagranicznej – obok władzy krajowej. W sprawie granic, jakich należy żądać w traktacie pokojowym, mówił, że naogół godzi się z linią wschodnią, wysuniętą przez Dmowskiego, podkreślił przytem, że, o ile na granicy będą rzeki, to oba ich brzegi muszą należeć do Polski. Wypowiedział pogląd, że wszystko to, co Polska w sensie granic otrzyma na zachodzie, będzie podarunkiem Koalicji, bo tam nic własnym siłom nie zawdzięczamy. Natomiast zdobycze na wschodzie będziemy zawdzięczali wyłącznie sobie, naszym własnym siłom. W związku z tem mówił, że teraz, uporawszy się jako tako ze sprawami Królestwa, wychodzi stopniowo po za obręb Kongresówki – na Wołyń i Polesie, później pójdzie na Wilno.

Plany Komendanta na wschodzie wiązały się z jego koncepcją „Wielkiej Polski”, wymagającą liberalnego traktowania sprawy ziem dawnego W. Ks. Litewskiego i Ukrainy. Tę „Wielką Polskę” przeciwstawił on endeckiej koncepcji „Małej Polski”, nacjonalistycznej, odstręczającej od siebie

sąsiadów wschodnich, którzy powinni byli garnąć się ku „Wielkiej Polsce” i skupiać się przy niej jako przy naturalnym protektorze wobec niebezpieczeństwa rosyjskiego.

Mówiąc o paryskim Komitecie Narodowym, zastrzegając się, że my, jako delegacja Naczelnika Państwa, wchodząc w skład tego Komitetu, nie powinniśmy zależeć od niego finansowo. Jesteśmy na specjalnym budżecie tej delegacji, uchwalonym jeszcze za gabinetu Moraczewskiego. Przy tej sposobności zaznaczał, że w Paryżu nie powinniśmy pędzić życia „studenckiego”, ale zachowywać się jak rzeczywista delegacja szanującego swą godność państwa. Mówił też, że punktem honoru Polski będzie jaknajszybsze zwrócenie w imieniu państwa sum, które aljanci wydali na utrzymanie Komitetu Narodowego i jego agendy.

Tegoż dnia, 6-go lutego nocą wyjechałem do Krakowa, gdzie z rozmaitych powodów pozostawałem do 25-go, kiedy wyruszyłem przez front czeski, Wiedeń i Genewę do Paryża, gdzie stanąłem 9-go marca rano i zaraz zostałem wprowadzony przez moich kolegów z delegacji Naczelnika Państwa, przedewszystkiem dra Michała Sokolnickiego, in medias res.

*A Wnieście - 172 a woś Dymaty?*



Przebywając w Paryżu, utrzymywałem ścisły kontakt z Komendantem, informując go o sytuacji i o mojej pracy, wysyłając doń raporty i otrzymując odeń listy z instrukcjami i wiadomościami. Wszedłszy do Komitetu Narodowego brałem udział w jego posiedzeniach, pisywałem do prasy francuskiej (głównie do „Temps”) i przede wszystkim zająłem się nawiązaniem stosunków z delegacjami narodów, ujarzmionych uprzednio przez Rosję, a teraz dążących do utrwalenia własnych państw niepodległych, Estończyków, Łotyszów, Ukraińców, Gruzinów i t. d.

Najserdeczniej zbliżyła się nasza delegacja z Estończykami, którym przewodził minister spraw zagranicznych Estonji – I. Poska, człowiek bardzo wybitny, o szerokich horyzontach politycznych, dokładnie zdający sobie sprawę ze znaczenia Polski dla wszystkich odrywających się od Rosji narodów i oddający nam wielkie usługi w Paryżu przy nawiązywaniu stosunków z innymi przedstawicielami „kresowych” narodów Rosji. Bardzo dobre stosunki wytworzyły się też z Łotyszami, u których rolę przewodnią objął minister spraw zagranicznych, Meierowicz. Z ramienia Komitetu Narodowego prowadziłem pertraktację

z Litwinami, bardzo niechętnie względem Polaków usposobionymi. Przez Poskę zetknąłem się z delegatem Ukrainy, Sydorenką.

Już w pierwszym swym raporcie (z dn. 3.IV 1919) poinformowałem Komendanta o stanowisku przedstawicieli tych narodowości, na co otrzymałem natychmiast odpowiedź, datowaną z Belwederu dn. 8.IV.1919, która brzmiała:

*„Mój drogi!*

*List Twój otrzymałem i bardzo Ci jestem wdzięczny za ciekawe wiadomości w sprawie, która mnie nadzwyczajnie w obecnym czasie zajmuje. Przypuszczam, że w najbliższych czasach będę mógł otworzyć trochę drzwi dla polityki, związanej z Litwą i Białorusią. Znasz moje pod tym względem poglądy, polegające na tem, że nie chcę być ani imperialistą, ani federalistą, dopóki nie mam możliwości mówienia w tych sprawach z jaką taką powagą – no i rewolwerem w kieszeni. Wobec tego, że na bożym świecie zaczyna zdaje się zwyciężać gadanina o braterstwie ludzi i narodów i doktrynki amerykańskie, przechylam się z miłą chęcią na stronę fe-*



deralistów. Podczas pobytu tutaj przedstawiciele ententy tylem nakładł w uszy przedstawicielowi Anglii o sprawach litewskich, że, o ile on będzie miał wpływ na te sprawy, to bodaj będzie to wpływ dla nas korzystny i nie sprzeciwiający się oswobodzeniu naszych kresów od bolszewików. Zwrócił mi jednak uwagę, że główną trudnością do przewyciężenia będą Litwini. Sądzę, że najlepszym środkiem nacisku na Litwinów poza naszym posunięciem się naprzód, byłby nacisk na nich przez Łotyszów. Gdyby Łotysze swój akces do jakiejś federacji zrobili, nie wyobrażam sobie, aby Litwini temu podwójnemu naciskowi oprzeć się byli w stanie. Przypuszczam, że i Ameryka i Anglja byłyby skłonne w obecnym czasie do zatwierdzenia takiego paktu i że dawałoby to nam w postaci Libawy i Rygi łatwą rekompensatę za wątpliwy Gdańsk. Dlatego też naciskaj przedewszystkiem na Łotyszów czy przez Estończyków, czy też bezpośrednio. Nie mając nadziei, aby sprawa z Litwinami bezpośrednio w prędkim czasie dała pożądane rezultaty, sądzę, że rozwiązanie dla nas

zadania leży przedewszystkiem w pozyskaniu dla idei Łotyszów. Chciałbym, byś mówił o tem możliwie często z Paderewskim, który jest wściekłym federalistą, ale człowiekiem o względnie słabym charakterze, poddającym się wpływom, i bardzo się obawiam, że różne niecnoty imperjalistyczne mogą często sprowadzić go z ciernistej ścieżki, prowadzącej do rajy federalistycznego. Dobrze by więc było, gdybyś go swemi rozmowami podtrzymał w cnocie.

Co do Estończyków, to, chociaż przekracza to ramy pięknego obrazu, którym starał się malować przed oczami zacnego sir Howarda, to nie uważam to zupełnie za szkopuł. I owszem, im więcej, tem lepiej. Tem bardziej zachęcająco wyglądać to będzie dla naszych kochanych rodaków, których opór i narowy imperjalistyczne przelamać trzeba będzie, tem bardziej, gdy szanowni Estończycy odczuwają do Polaków, prawdopodobnie ich nie znając, taką tęsknotę, że gotowi sami propagować idee federacji z nami.

Sprawa ta, powtarzam, jest dla mnie już praktyczną i dlatego prosiłbym Cię bardzo



podwoić energję w tym kierunku. Tymczasem przyjm serdeczne uściśnienia.

*Twój Żuk.*

W II moim raporcie (z 23.IV.1919) poruszyłem kwestję, na które zareagował Komendant w swoim liście, przytoczonym niżej in ex-tenso. Dla zrozumienia tego listu, podaję odnośne ustępy mojego raportu:

„I. – *Sprawy Litwy.* Jesteśmy tutaj wszyscy pod wrażeniem zdobycia Wilna. Wiadomość o tym fakcie była tem radośniejsza, że w ostatnich czasach dochodziły nas wieści o energicznym przeciwdziałaniu wyprawie litewskiej ze strony endeków. Szerzę tutaj we wszystkich dostępnych mi sferach konieczność nacisku na aliantów w kierunku ewakuacji Grodna i wogóle usunięcia Niemców z tyłów naszych obecnych. W tym względzie istnieje stanowcze przeciwdziałanie ze strony Litwinów. Paderewski miał wczoraj tłumaczyć konieczność tej ewakuacji Balfour'owi, który obawia się... powstania Litwinów w Grodnie przeciwko Polakom na wypadek ustąpienia Niemców. Paderewski miał właśnie Balfour'owi tłumaczyć całą idjotyczność

tych obaw. W „Journal des Débats” był artykuł o konieczności tej ewakuacji. Biuru prasowemu Komitetowemu dałem instrukcje, aby lansowali w prasie konieczność ewakuacji. Przedwczoraj miałem długą rozmowę z Dr. Lordem z Misji amerykańskiej, który jest najzupełniej wyjątkowym cudzoziemcem, bo jaknajdokładniej zna nasze stosunki kresowe (czyta po polsku i po rosyjsku) i obecnie po powrocie z Polski jest bardzo przychylnie dla nas usposobiony. Otóż, on zapewnił mnie, że ewakuacja Grodna ma być dokonana do 1-go maja...

VIII. *Sprawy organizacyjne.* – Tu po uchwale, rozwiązującej Komitet, jest chaos, połączony z obstrukcją dotychczasowych czynników komitetowych. Zatwierdzenie Skrzyńskiego na stanowisku funkcjonującego tutaj wice-Ministra i kierownika Ekspozytury Ministerstwa Spraw Zagr. możeby narzeczcie wprowadziło jakiś ład. Stąd zatwierdzenie jego jest rzeczą pilną, jak to już radjotelegrafowaliśmy do Ciebie. W sprawach obsadzania placówek zagranicznych jednocześnie wysyłamy list osobny.



W trakcie tego Paderewski, nie porozumiewając się ze mną, mianował mię posłem w Jugosławji, zapewne opierając się na tem, że byłem w opinji południowo-słowiańskiej *persona grata*, jako oddawna zajmujący się sprawami serbskimi i chorwackimi i znający język serbo-chorwacki. Ponieważ nominacja ta najzupełniej rozmijała się z mojami planami, gdyż chciałem w dalszym ciągu zajmować się naszymi sprawami „kresowemi” oraz bałtyckimi, przeto w grzecznym liście do Paderewskiego zrzekłem się poselstwa w Belgradzie i jednocześnie zatelegrafowałem o tem Komendantowi.

W sprawach powyższych otrzymałem list Komendanta, datowany z Belwederu dn. 4.V.1919. Brzmiał on:

„*Mój Kochany,*

*O sprawie litewskiej szczegóły komunikuję Ci w kopji listu do Paderewskiego, z czem proszę Cię bardzo nie wydaj się, bo byłaby to przyczyna do obrazy.\*) Dodam do tego,*

\*) Dla lepszego zrozumienia sprawy przytaczam tu ten list Komendanta do Paderewskiego. (pozbawiony końcowej części).

*że bawi tutaj Szaulis od Litwy i niejaki Smolicz od Białejrusi. Szaulis sypie protestami, ale zresztą gotów jest o wszystkim gadać, natomiast Smolicz jest ustępliwy i skłonny do ugody, swobodnie zresztą żonglując, jak wszyscy bezsilni, pomiędzy „wszystko”, albo*

*Wielce Szanowny Panie Prezydencie!*

*Dziękuję za powinszowanie z powodu mojej operacji Wileńskiej; była ona dla mnie miłym odpoczynkiem po warszawskiej pracy i pozostawiła nadzwyczaj serdeczne i miłe wspomnienia. Tak ciepłego i tak wzruszającego przyjęcia, jakiego doznałem sam i całe wojsko, nie oczekiwałem. Przeszło to wszystko, co można było sobie wyobrazić. Podaję kilka charakterystycznych faktów, które świadczą o tem: chłopci pod Wilnem odstępowali kawalerji idącej w awangardzie nasienny owies. W jednej chwili po zajęciu dworca Wileńskiego przez kawalerję stanęło kilkuset ochotników pod broń dla walki z bolszewikami. Gdym na drugi dzień Świąt przyjechał do Wilna, przez parę dni widziałem całe miasto płaczące ustawicznie*



„troszczkę”. Najwięcej w tej sprawie obawiam się Niemców, którzy, w razie niepodpisania pokoju, przyjdą przeciw nam w zupełnym sojuszu z bolszewikami. Dotąd są wcale grzeczni. Ustąpili Grodno bez żadnych przeszkód. Natomiast wyrzucenie ich z Suwalszczyzny musi być dziełem Paryża.

ze wzruszenia i radości. Pomimo okropnego wygłodzenia miasta ludność wpychała żołnierzom wszystko, co miała do jedzenia. Wszystkie te fakty ku wielkiej mojej radości zawiązały pomiędzy wojskiem a ludnością serdeczny i długotrwały związek. Znacznie gorzej było z Żydami, którzy przy panowaniu bolszewickim byli warstwą rządzącą. Z wielkim trudem wstrzymałem pogrom, który wisiał prosto w powietrzu z powodu tego, że ludność cywilna żydowska strzelała z okien i dachów i rzucała stamtąd ręczne granaty. Odezwę swoją do ludności zakomunikowałem już Panu telegraficznie. Wobec tego, że Wilno samo znalazłem opuszczone zarówno przez Polaków jak i przez Litwinów i Białorusinów, nie mogłem utworzyć czegokolwiek

Na miły Bóg! Starajcie się o tę Łotwę i o zacieśnienie z nimi stosunków. Jest to, powtarzam, najprostsza droga do złamania oporu Litwinów. Wyzyskuj w prasie i w gawędach fakt poddania się pułku białoruskiego w Grodnie. Może to wznieci (?) obawy p. Balfoura. Ciekawem jest, że akurat takimi

szerzego po zajęciu Wilna. I Polacy, i Litwini, i Białorusini przy pertraktacjach z nimi oglądali się jedni na Warszawę, drudzy na Kowno lub Mińsk, gdzie wyemigrowała większość ich przedstawicieli. Do żadnej decyzji nie mogłem ich doprowadzić. Wskutek tego zatrzymałem się na rozwiązaniu kwestji takim, któreby nie zamykało drogi w żadnym kierunku. Zapewniłem ogólnikowo o konieczności wypowiedzenia się co do losu kraju samej ludności i utworzyłem komisariat cywilny, którego pierwszym zadaniem będzie ułatwienie właśnie tego wypowiedzenia się. Nie dałem zaś żadnej obietnicy ani co do miejsca, ani co do formy tego wypowiedzenia się, albowiem przy tak nieokreślonych odpowiedziach, jakie otrzymałem od przed-



samemi słowy, grożącemi nam strzelaniem do nas ze strony Białorusinów, grozili Niemcy przed odejściem z Grodna, popychając naszych przedstawicieli do żądań, aby oni, Niemcy, koniecznie ten pułk Białoruski zabrali ze sobą przy odejściu. A gdy to im się

stawiali ludności, nie chciałem podnosić żadnej spornej kwestji. Dla zaznaczenia jednak ogólnej tendencji zrobiłem dwie rzeczy. Jedna to, że zatytułowałem odezwę do mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego, biorąc w ten sposób Litwę historyczną jako całość. Drugie: ustanowiłem zarząd miasta w ten sposób, aby do niego wchodził przedstawiciel nie tylko Polaków, ale i Żydów oraz innych narodowości. Tak jak oczekiwałem, największy opór okazali Litwini, którzy po pewnych wahaniach odmówili wejścia do zarządu miejskiego. Żydzi zgodzili się na wydelegowanie wybranych przezemnie delegatów, Białorusini wysłali zgodnie z żądaniem jednego. Przez ten czas, com był w Wilnie, i do dzisiaj sytuacja nie naprawiła się wcale. Jak przypuszczałem zgóry, zajęcie

nie udało i pułk zdecydował się zostać i podać się Komendzie polskiej w Grodnie, przysyłano z Kowna telegraficzne rozporządzenie, nakazujące aresztowanie kilku oficerów z tego pułku. Rozmowy te telefoniczne były

Wilna postawiło całą kwestję Wschodu na porządek dzienny i teraz każda ze stron zainteresowanych zmuszana jest do wypowiedzenia się i do przetargów. Położenie jest następujące: Polacy w swej opinji są podzieleni. Odbija się to na uchwałach Sejmu, które z jednej strony zostawiają furtki dla możliwości innego rozwiązania przez uznanie zasady swobodnego wypowiedzenia się ludności miejscowej, nie wyłączając Litwinów i Białorusinów. Pomimo wścieklej naganki aneksjonistów sprawa dotąd jest nierozstrzygniętą, gdyż w tej nagance każdy wyczuwa personalny element walki nar. demokratów ze mną. Teraz o Litwinach. Ci naśladują naszych endeków w stosunku do Białorusinów. Jak jedni, opierając się na Entencie, chcą spokojnie podzielić Białorusinów na dwie części, oddając ich ogromną



przez nas podsłuchane i wszelkie zakusy pod tym względem udaremnione. Zresztą nad stosunkami w tym pułku panuję o tyle, że każdej chwili, bez krwi rozlewu, mogę go zmusić do dobrowolnego rozwiązania się. Nie

większość Rosji, tak znowu Litwini, opierając się na Niemcach, mają akurat ten sam plan – to znaczy stworzyli sobie koncepcję, której obecnie się uparcie trzymają, że całe Kowieńskie, Grodzieńskie, Wileńskie i niewielka część Mińszczyzny, a w dodatku i całe Suwalskie zapewne z polskimi powiatami stanowi już państwo Litewskie z Tarybą na czele. Resztę Białorusi zupełnie tak samo jak endecy oddają Moskałom. Z tego też powodu po zajęciu przez nas Grodna i Wilna próbowali założyć protest przeciwko „wkroczeniu wojsk polskich do Państwa Litewskiego”. Wojskowo wymagali czegoś w rodzaju kondominjum w Wilnie jako podstawy dla ich działań przeciwko bolszewikom. Na tej zaś podstawie żądali również oddania im kolei od Oran do Wilna. Pertrakcje te prowadzili już po moim wyjeździe

robię tego jedynie z powodu, że dobre stosunki z tym pułkiem osłabiają znaczenie i wpływ Taryby. Ale, powtarzam, zarówno w rozmowach, jak i w prasie należy fakt ten wykorzystać.

z Litwy z Gen. Szeptyckim, który wymógł zatrzymanie jakichkolwiek ruchów ich wojsk i przeniesienie pertraktacji do Warszawy. Wobec tego, że ich wojska, zresztą bardzo nieliczne i dość marnie zorganizowane, stoją właściwie pod komendą niemiecką, nie mogą na te ich żądania się zgodzić, a nie chcąc przeszkadzać zrobieniu frontu przeciwko bolszewikom na północ od Wilna, dopóki nie zbiorę więcej wojsk na tym froncie, przeciwstawię ich żądaniom swoje, polegające na: a) opuszczeniu przez Niemców powiatów Suwalskiego, Augustowskiego i Sejneńskiego, co mi zabezpiecza kolej z Białegostoku do Grodna i oddaje w ręce polskie powiaty z polską ludnością; b) pozatem linię demarkacyjną chcę mieć taką, by dawała w moje ręce Olitę, od Olity na północ szła przez Stokliszki, Żyżmory, Rzczany (po-



Przechodzę do nominacji poselskich. Propozycje Paderewskiego otrzymałem w Lidzie i byłem zupełnie przekonany, że zostały one ułożone na podstawie porozumienia się.

między stacjami Koszedary i Żośle), Fuchniańce, Bogusławiszki, Wileję (w pół drogi pomiędzy Szyrwintami a Wilkomierzem). Wszystkie wymienione miejscowości miałyby wchodzić do naszej linii. Oddaję w ten sposób możliwość działania przeciw Bolszewikom w stronę Wilkomierza oraz pozostawiam w ich posiadaniu stację węzłową Koszedary, które zabezpieczą kolejową łączność Kowna z Szawlami i Libawą. Natomiast linja demarkacyjna idzie na północ od Wilna, że samo posiadanie Wilna nie jest zanadto zagrożone. Oprócz tego ta linja demarkacyjna biegnie mniej więcej wzdłuż granicy etnograficznej i językowej Litewskiej. Co do obu tych punktów a i b proszę bardzo o współdziałanie i nacisk odpowiedni w Paryżu. Wracając do Litwinów, to pomimo protestów zasadniczych co do wkroczenia naszego jakoby na ich terytorjum, daje się zaznaczyć

Więc, chociaż dziwiło mnie bardzo, że Patek zgodził się na przyjęcie stanowiska najbardziej eksponowanego, gdzie najłatwiej się skompromitować, i chociaż wcale nie byłem

małe zawahanie w ich nieprzejdanem stanowisku. O ile nie poddadzą się oni w zupełności Niemcom, sądzę że można i należy, nie dając odpowiedzi na ich protesty, pertraktować z nimi dalej i wyszukiwać pomiędzy nimi typy bardziej ugodowo względem nas usposobione. Jak mnie się zdaje, dużą rolę wśród nich odgrywają pieniądze. Również można robić na nich nacisk przez Białorusinów, do których teraz przechodzę.

Część Białorusinów uległa koncepcji Litewskiej (jak mnie się zdaje głównie pod wpływem niemieckich narad) i reprezentacji przy Kowieńskiej Tarybie. Białoruś okrojono i podzielono przez koncepcję Taryby. Na tej podstawie sformowano właśnie w Grodnie jakieś urzędy Białoruskie, no i pułk piechoty białoruskiej, liczący wraz z 5 czy 6 pułkownikami summa summarum 400 ludzi. Pomimo wszelkiego nacisku Niemców, aby



zadowolony z możliwości Twojej eskapady aż do Belgradu, ale w przypuszczeniu, że jest to zgodne porozumienie, zadeszczowałem sankcję do Paderewskiego. Sądzę, że kwestja

wywolać pomiędzy temi urzędami i wojskiem konflikt przy naszym zajmowaniu Grodna, nie udało się to najzupełniej. Pulk ten Białoruski pozostał w Grodnie, godząc się na to, by podczas swego pobytu w Grodnie był pod komendą Polską, zastrzegając sobie jedynie prawo komunikować się z Kownem, jako ze swoim centrum. Pulk ten przy uroczystościach po zajęciu Grodna defilował przed naszym generałem narówni z banami polskimi. Co się tyczy urzędów, to przedstawiciel ich obecnie przyjechał do Warszawy i zajmuje stanowisko bardzo ugodowe. Jeszcze bardziej ugodowe i kontrniemieckie, a zarazem i kontrlitewskie w stosunku do koncepcji Taryby stanowisko zajmują rady białoruskie, a raczej resztki tych rad, które były pod panowaniem bolszewickim. Żądają one bowiem, by Białoruś nie była podzieloną przez nikogo i proszą o po-

wobec waszej odmowy odwlecze się i użyjecie teraz wszelkich wysiłków, aby sprawę postawić inaczej.

W sprawie Skrzyńskiego, o której piszesz i telegrafujesz, w zasadzie nie mam nic prze-

moc Polski dla osiągnięcia tego celu. Ten atut przy swoim rozwoju daje się łatwo wygrywać przeciw litewskim pupilom Niemców. Nie trzeba tylko w stosunku do Białorusinów stać na stanowisku tem samym, na jakim stoi Taryba z tą jedynie różnicą, że do podziału Białejrusi z Rosją stanęliby nie Litwini ani Niemcy, ale Polacy. W całej tej kwestji prosiłbym bardzo o jakieś szczególowsze dane co do stanu tej sprawy w Paryżu i do możliwości takiego, czy innego jej rozwiązywania oraz co do kroków, robionych w tej sprawie przez Pana w Paryżu wobec przedstawicieli Ententy. Pomędzy innemi prosiłbym o zrobienie nacisku w Paryżu na to, aby misja Francuska w Kownie w swoim przeciwdziałaniu pracy Niemców wśród Litwinów nie obierała fałszywej metody. Mianowicie, doszły do mnie wiadomości, że



*ciw temu, ale sądzę, że Skrzyński i Paderewski w Paryżu są to dwa grzyby w barszczu, coby również nie szkodziło, gdyby nie konieczność porządkowania stosunków w M. S. Z. i uwzględnienia polityki prowadzonej w Paryżu i Warszawie. W tym też duchu piszę do Paderewskiego.*

*Uścisk dłoni Tw. J. Piłsud...*

W tymże raporcie (z dn. 23. IV. 1919) zakomunikowałem między innem o zwróceniu się Estończyków do Delegacji Polskiej z prośbą uznania ich państwa de facto, przyjęcia ich reprezentanta w Warszawie i wysłania reprezentanta Polski do nich. Pisałem: „Do listu swojego dołączyli dokumenty ministerstw spraw zagranicznych francuskiego, angielskiego, włoskiego i amerykańskie-

*dla osiągnięcia swego celu Misja Francuska stara się wetknąć do wojsk formowanych przez Niemców z Litwinów możliwie wielką ilość oficerów rosyjskich. Rozumie Pan dobrze, że jest to sposób, sprzeczny zupełnie z naszymi interesami, robiący Litwinów w stosunku do nas bardziej nieustraszywymi, a zresztą nie osiągnący zupełnie celu...*

go, uznających Estonję i jej rząd prowizorycznie aż do ostatecznej uchwały Konferencji Pokojowej. Ich prośba sprowadza się do analogicznego żądania wobec Polski. Zadosyćuczynienie ich żądaniu obecnie ogromnie by ich ujęło. Niestety, chaos, panujący w tutejszych dykasterjach, zajmujących się sprawami zagranicznymi, nie pozwala na załatwienie tej sprawy. Mówiłem o tem parę razy z Paderewskim i Skrzyńskim (Wład.), (ten ostatni nie wiedział, gdzie leży Estonja), złożyłem obydwum specjalnie promemoria i w rezultacie sprawa jeszcze nie jest załatwiona, co utrudnia moje stosunki z Estończykami”.

Sprawy tej już nie spuszczałem z oka, ale ostateczne załatwienie jej nastąpiło dopiero na gruncie krajowym, w Wilnie, przy bezpośrednim współudziale Komendanta. W moim III raporcie paryskim (z dn. 6.V.1919) piszę w tej sprawie: „Zapewnił mnie Paderewski, że uznanie ich (Estonji) przez Polskę i wysłanie do nich naszego przedstawiciela jest sprawą w zasadzie załatwioną, ale cóż, kiedy praktycznie nie można doprosić się dokumentu urzędowego, któryby dawał satysfakcję Estończykom. Kładę Ci tę sprawę bardzo na sercu, bo i tak spóźniliśmy się mocno, a źle by



było, gdybyśmy przyszli ze spełnieniem żądań Estończyków ostatni."

W trakcie tego w Paryżu decydowały się sprawy pierwszych polskich poselstw zagranicą. Władysław Skrzyński zaproponował mię do rady przy M. S. Z. (razem z Adamem Tarnowskim i Koziell-Poklewskim), co nie wykluczałoby mojej „ekstra-ambasady” finlandzko-estońsko-łotewskiej z siedzibą w Warszawie. Były i inne plany, jak np. jazdy mojej jako kierownika misji extraordinaryjnej do Estonji i Łotwy, na parę miesięcy.

W drugiej połowie maja otrzymałem datowany z 17.V list sekretarza Komendanta, Kazimierza Świtalskiego, który brzmiał:

*Szanowni!*

*Z polecenia Komendanta podaje Wam następujące informacje i instrukcje:*

*Jak wiecie z pism, w sejmie i w komisji dla spraw zagranicznych pojawiła się cała powódź wniosków nagłych i rezolucyj w sprawie naszej polityki na Wschodzie. Endecy kryją swój odwrót tem, że z zasady samostanowienia o sobie ludności, zamieszkującej ziemie b. W. Księstwa litewskiego, robią tyl ko środek, który ma doprowadzić do zjedno-*

*czenia powiatów polskich Litwy z Polską, właśnie drogą takiego nie innego wypowiedzenia się polskiej ludności tych okolic. Ostatnie stadjum wszystkich sejmowych gadań jest takie, że ma być wypracowany kompromisowy wniosek i przedłożony we wtorek na posiedzeniu plenarnem. Oczywiście tego rodzaju wniosek, godzący ogień z wodą, będzie sztuczny, bardzo ogólnikowy i nie będzie mógł stanowić żadnej wyraźnej wytycznej w sprawach polityki zagranicznej.*

*2. Komendant zaproponował Paderewskiemu, by Was mianował ministrem upelnomocnionym na Finlandję, Estonję i Łotwę. Do krajów tych mielibyście za zadanie wysłać w charakterze misyj specjalnych ludzi odpowiednich, którzyby od Was we wszystkich sprawach, tyjących się tych państw, byli zależni. Komendantowi proponowano wysłanie do Łotwy adwokata Soltana, który w r. 1905 występował jako obrońca w sprawach politycznych i ma z tej racji wśród Łotyszy znaczne wpływy i szacunek. Jodko proponuje na stanowisko do Estonji Kutylowski. Przez wysłanie do tych państw naszych peł-*



nomocników Polska tem samem uznałaby ich istnienie i Wasze postulaty, poruszone w tej materji w poprzednich listach, byłyby w ten sposób spełnione.

W Warszawie bawi w charakterze zastępcy handlowego Finlandji p. Björklund, u którego adjutanci Komendanta spotykają ciągle Anglików i który zdaje się posiada zadanie prowadzenia nieoficjalnie i spraw politycznych. Z panem tym Komendant będzie miał jutro konferencję.

3. Komendant stale wyczuwa, że Anglja chce odgrywać coraz czynniejszą rolę w sprawach Finlandji, Estonji i Łotwy. Chce ona mieć w sferze swych wpływów tę część wybrzeża bałtyckiego, co zmusza ją do żywego interesowania się i Litwą, jako swemi tyłami. Komendant rozmawiał w tych sprawach z Howardem, który uważał wpływ Polski na tworzenie się tej federacji bałtyckiej za pożądaną. Komendant chciałby, byście w tych sprawach pomówili z Howardem\*) (wysuwając w tej rozmowie ten argument, że wpływ

\*) Ustęp w ( ) skreślony.

Anglji i Polski na tworzące się państwa nadbałtyckie niweczyłby koncepcję opierania się tych państw, czy też szukania kontaktu z Rosją.)

Chodzi o to by Anglja w tych swoich aspiracjach nadbałtyckich uważała Polskę za państwo, popierające i mogące dać poparcie idei federacji państw nadbałtyckich i przez to pokrzyżować i odciągnąć Anglję od robienia tego interesu na spółkę z Rosją

Serdeczny uścisk dłoni

K. Świtalski

Dnia 17 lipca 1919 opuściłem Paryż i wyruszyłem do kraju.

Zaraz po przyjeździe do Warszawy zgłosiłem się do Belwederu. Komendant zaprosił mię na obiad z tem, że po obiedzie przeprowadzimy obszerniejszą rozmowę. Jednakże po obiedzie był zajęty czemś innem, więc zatrzymał mię na kolację, po której gawędziliśmy do godziny 10.

Komendant był tego dnia w wyśmienitym humorze. Rozpytywał mię szczegółowo o stosunki w Paryżu, przyczem złożyłem mu ogólne sprawozdanie z moich robót tamecznych, zwłaszcza w dziedzinie stosunków z Estończykami i Łotyszami.



Scharakteryzowałem również działalność moich kolegów z Delegacji Naczelnika Państwa – Sokolnickiego, Patka, Sujkowskiego i innych. Z rozmowy tej wyłoniły się trzy propozycje co do dalszych prac moich: a) dawna, wznowiona, jazdy w charakterze posła na Łotwę i do Estonji, b) objęcie w Warszawie spraw północnego wschodu, a więc spraw Litwy i państw bałtyckich; c) to samo, ale z siedliskiem w Wilnie.

Komendant kładł nacisk na konieczność jaknajenergiczniejszego zajęcia się temi sprawami przede wszystkim ze względu na zagadnienie stosunku Polski i Litwy. Uważał on, że zwłaszcza zbliżenie z Łotwą (na Estonję kładł mniejszy nacisk) może nam bardzo pomódz przy naciskaniu Litwy w kierunku jej zbliżenia z Polską. Komendant miał jeszcze tegoż dnia mówić o planach, mnie dotyczących, z Paderewskim, przyczem powiedział mi mimochodem, śmiejąc się:

– A wiesz, że Paderewski bardzo Ciebie chwali...

Nazajutrz przyszła wiadomość, że do Kowna przyjechała delegacja Estonji i Łotwy dla rozmowy z Polakami (sądząc, że Kowno jest w naszych rękach) i że Anglicy czynią jakieś zabiegi w celu

utworzenia wspólnego frontu antybolszewickiego z wyłączeniem Niemiec. Wyłoniła się wobec tego propozycja, abym jechał do Kowna dla zasięgnięcia języka. Sprawę tę mieliśmy omówić później.

Dnia 30 lipca Komendant wezwał mię do siebie na kolację, po której mieliśmy mówić o mojej jeździe na Litwę. Do tego jednak nie doszło, bo zaraz po kolacji Komendant mi powiedział:

– Pokażę Ci moją córkę.

– Zapewne pragnąłeś syna? – zagadnąłem Komendanta.

– Wiesz, że nie... Bo i jakież byłby los mego syna... Przecież więcej odemnie wykonać by nie mógł... Państwo polskie już jest... A być przez całe życie takim „Władysławem Mickiewiczem” – synem Adama, zawsze wyróżnianym i ściągającym na siebie uwagę tylko tem, że się jest „synem wielkiego ojca” – to przecież los nie do zazdroszczenia.

Pojechaliśmy tedy autem do Sulejówka, gdzie mi z dumą pokazał małą Wandkę i gdzie znowu mogłem powitać małżonkę Komendanta – dawną niezmiernie sympatyczną towarzyszkę „Oleę”, którą znałem jeszcze z czasów porewolucyjnych i z którą korespondowałem, kiedy, wywieziona z War-



szawy przez Niemców, przebywała w jednym z obozów jeńców w głębi Rzeszy..

W Sulejówku zanocowałem, zaprowadzony do jakiegoś na uboczu położonego pokoiku przez Aleksandra Prystora.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, ruszyliśmy autem w powrotną drogę do Warszawy.

W drodze powrotnej, kiedyśmy jechali jakimiś bezdrożami przez wilgotne łąki, ogarnęło mię przeżalenie na myśl, że, gdyby ktoś chciał wykonać zamach na Komendanta, nie byłoby w owym czasie dogodniejszej sposobności nad uczynienie tego po drodze do Sulejówka.

W Warszawie dowiedziałem się, że Komendant tej samej nocy ma jechać do Wilna, dokąd i mnie zabierał. O godz. 23 dn. 31 lipca wyruszyliśmy „extrapociągiem Naczelnika Państwa” na północ. Wraz z Komendantem jechał tam świeżo przybyły z Paryża generał Henrys w towarzystwie dwóch wojskowych francuskich.

Jadąc do Wilna, Komendant był, jak zwykle w tych wypadkach, w świetnym humorze, wesoło rozprawiał o rozmaitych rzeczach i dowcipkował. Między innem żartobliwie tłumaczył w jaki sposób możnaby przenieść stolicę Polski

z Warszawy do Wilna. Oczywiście, odrazu toby się nie dało zrobić, bo, pomijając już tradycje i t. p., kontrast między Warszawą a Wilnem był zbyt wielki. To też należałoby przenieść stolicę na początek do Brześcia i dopiero po dłuższym czasie stamtąd do Wilna. Po Brześciu, oczywiście, Wilno wydałoby się rajem i wszyscy chętnieby się ze stolicą w Wilnie pogodzili.

Po drodze w rozmowie z Komendantem podzieliłem się z nim świeżo usłyszaną ploteczką, jakoby nasi monarchiści z Eustachym Sapiechą na czele lansowali na króla Polski księcia Artura Connaught, syna stryja królewskiego.

Komendant uśmiechnął się i rzekł parę razy po rosyjsku:

– Etot nomier nie projdiot...

Nocą przebyliśmy większą część drogi wraz z mostem pod Grodnem, skrzypiącym i chwiejącym się, co wówczas stanowiło zwykle najbardziej emocjonujący moment podróży w tym kierunku. Kiedyśmy się nazajutrz zbliżali do Wilna, Komendant z wielkiem ożywieniem zaznajamiał gen. Henrys'a z topografią okolic, tłumacząc między innymi dumę ludności miejscowej z posiadania „gó” Ponarskich.



W Landwarowie pod Wilnem byliśmy świadkami manifestacji na cześć Komendanta. Dzieci szkolne śpiewały „Marsz, marsz, Piłsudski!...”, wójtowie wystąpili z chlebem i solą, był transparent z portretem Naczelnika Państwa i napisem „Niech żyje Piłsudski!” Sprawilo to Komendantowi wielką przyjemność – ze względu na przyglądających się temu Francuzów.

W Wilnie zamieszkałem w pałacu pobiskupim i wskutek tego byłem w codziennym kontakcie z Komendantem – przy śniadaniu, obiedzie i t.d. W trakcie przygotowań do mojej jazdy do Kowna rozmawiałem z Komendantem o naszych zadaniach na północnym wschodzie. Mówił, że w rozmowach z przedstawicielami Ententy należy wysuwać ideę zwalczania anarchji rosyjskiej etapami, odrywając od Rosji ziemie, już syte bolszewizmu, a nierosyjskie. Komendant polecił mi porozumieć się z Birzyszką, redaktorem „Głosu Litwy” (pisma litewskiego, wydawanego po polsku), dla wymacania gruntu, na coby Litwini byli skłonni pójść dla uregulowania stosunków polsko-litewskich. Odbyłem więc konferencję z tym działaczem, przyczem doszliśmy do uzgodnienia naszych stanowisk.

Podczas pobytu Komendanta w Wilnie ośrodkiem jego zainteresowań praktycznych była sprawa jaknajszybszego załatwienia stosunków polsko-litewskich. Przyjmował raz po raz ludzi, przybywających z Kowna do Wilna, przeważnie kowieńskich działaczy polskich, konferował z nimi, zasięgał od nich języka i inspirował ich w kierunku wyzyskania sytuacji dla planów porozumienia polsko-litewskiego. O innych sprawach mówiliśmy mało. Raz poruszyłem sprawę plebiscytów, narzuconych nam w traktacie wersalskim. Przy tej sposobności twierdził, że ze strony Niemiec przynajmniej przez jedno pokolenie będziemy mieli spokój.

Dnia 3 sierpnia ja i major Kasprzycki otrzymaliśmy od Komendanta szczegółowe instrukcje w sprawie pertraktacyj z rządem litewskim, które mieliśmy prowadzić w Kownie. Za podstawę miała być wzięta koncepcja równoległych wyborów na ziemiach, zajętych tak przez władze litewskie, jak i polskie. Dwie, wybrane na zupełnie identycznych podstawach, reprezentacje dwóch tych terytorjów zjechałyby się w Wilnie i, utworzywszy wspólny sejm, rozstrzygnęłyby stanowisko prawnopństwowe Litwy i jej stosunek do Pol-



ski. Z tą koncepcją (sympatycznie odniósł się do niej i Birzyszka) pojechaliśmy – ja, mjr. Kasprzycki i nasz oficer łącznikowy, Dunin-Wąsowicz – do Kowna autem, które prowadził Anglik, kapitan Brodie, przysłany do Wilna przez misję angielską w Rydze.

Kap. Brodie (właściwie zanglizowany Żyd kijowski, Brodski) po rozmowie z Komendantem podjął się niejako pośrednictwa w sprawie zbliżenia polsko-litewskiego, choć, jak sam mówił, przekraczał w ten sposób swoje kompetencje, bo został przysłany tylko dla zbierania informacji. Ale ryzykował to pod wpływem Komendanta, który, jak się nam zwierzał, wywarł na nim potężne wrażenie, tak, że znajomość z nim zalicza do faktów, które „chciałby mieć wyrytymi na tablicy marmurowej swego życia złotymi literami”.

Po ukończeniu parudniowych pertraktacji z rządem litewskim w Kownie przywróciliśmy z Kasprzyckim do Wilna, skąd tymże „extrapociągiem Naczelnika Państwa” odjechaliśmy do Warszawy.

W kilka dni później powróciłem do Wilna na stałe, jako delegat M. S. Z. i jednocześnie mąż zaufania Naczelnika Państwa do spraw północnego wschodu. Pracowałem w ścisłym porozumieniu z

kpt. Walerym Sławkiem, szefem II Oddziału armji Szeptyckiego, łącznikiem zaś między nami a Belwederem był pozostawiony w Wilnie jeden z adjutantów Komendanta, Stanisław Radziwiłł. Podtrzymywałem stosunki z Kownem, głównie przez Dunin-Wąsowicza, z Łotwą i Estonją – w drodze korespondencji lub przez przyjezdnych delegatów stamtąd, wreszcie pisywałem dużo do dziennika wileńskiego „Nasz Kraj”, redagowanego przez Piotra Góreckiego, a będącego organem polityki „litewskiej” Komendanta.

Stosunki z Kownem były dość ścisłe, a dość szeroko rozgałęziona na terenie kowieńskim tajna organizacja P.O.W. dawała możliwość oparcia pewnych rachub politycznych na jej sile, zwłaszcza, że rząd Taryby posiadał i w samym społeczeństwie litewskim sporo żywiołów niechętnych, które dążyły do wyemancypowania się zpod przewagi niemieckiej i do zbliżenia się z Polską. Żywioły te liczyły na pomoc Komendanta, do którego miały wielkie zaufanie. W tym czasie w Kownie przygotowywał się spisek, który dążył do obalenia germanofilskiego rządu Taryby między innem przy pomocy P.O.W.

Spisek nie udał się, część spiskowców wycofała



się z imprezy, część, unikając aresztowania, schroniła się do Wilna. Represje spadły przede wszystkim na organizacje P.O.W. Poaresztowano mnóstwo ludzi, traktowano ich z niesłychanym okrucieństwem, kurs antypolski zapanował na Litwie i przybrał formy systematycznego tępienia polskości. W Wilnie mieliśmy jaknajdokładniejsze informacje o wszystkim, co się w tej dziedzinie działo w Kowieńszczyźnie, „Nasz Kraj” drukował szczegółowe relacje o aresztowaniach, torturach i znęcaniu się nad ludnością polską. Do Komendanta szły szczegółowe raporty o tem wszystkim. W rezultacie Komendant stanął na stanowisku, że niepodobna pertraktować z gabinetem, który politykę antypolską uczynił podstawą swej działalności. Wszelkie istniejące dotychczas stosunki półoficjalne z Litwą ustały.

Siedząc w Wilnie, w dalszym ciągu pilnowałem spraw bałtyckich i rozpoczętej już w Paryżu akcji uznania Estonji i Łotwy *de facto*. Dn. 26.IX.1919. otrzymałem z Rewla list (datowany 6.IX) od ministra Poski, który naglił w sprawie rozstrzygnięcia spraw bałtyckich. To też w jednym ze swych listów do Komendanta (z dn. 26.IX) podałem treść listu Poski i pisałem: „List powyższy

przekonywa mnie, że niezłatwienie sprawy uznania Estonji, w zasadzie postanowione już i przez Ciebie, i przez Paderewskiego, przynosi nam niepowetowane szkody. Uznanie *de facto* zostało zrealizowane przez wszystkie państwa Ententy, przez Papieża, świeżo znów przez państwa Skandynawskie, i nasza obstrukcja staje się już wprost skandaliczną. Uważam obecnie za konieczne, aby sprawa ta została załatwiona albo w drodze radja, albo przez komunikat do prasy polskiej, co by doszło do Rewla, zanimby mianowany na wysłannika tam p. Boufałł do Rewla dotarł. Nie wątpię, że Boufałł wiezie ze sobą takie uznanie, ale uważam tę rzecz za nader pilną i wymagającą natychmiastowego załatwienia, jeśli nie mamy naszych spraw w Estonji pokpić..”

Wkrótce po wysłaniu tego listu Komendant interwenjował w tej sprawie u Władysława Skrzyńskiego i z M.S.Z. otrzymałem wiadomość, że, jakkolwiek Boufałł nie zawiózł jeszcze do Rewla owego uznania Estonji *de facto*, to jednak sprawę należy uważać za załatwioną. Kiedy więc Komendant przyjechał znowu do Wilna – tym razem na uroczystość otwarcia uniwersytetu – w towarzystwie Władysława Skrzyńskiego, zwróciłem się do



towarzyszącego temu ostatniemu urzędnika M. S. Z. Arciszewskiego z zapytaniem, jak stoi sprawa uznania Estonji *de facto*? Ten mi odpowiedział, że odnośny dokument w M.S.Z. został sporządzony dn. 6 października, ale go nie wysłano. Arciszewski zwierzył się mi, że ma ów dokument ze sobą, gdyż Skrzyński go jeszcze nie podpisał. Postanowiłem tedy interwenjować. Wyraziłem Skrzyńskiemu radość z powodu załatwienia sprawy i, korzystając z tego, że Komendant właśnie się do nas zbliżył, zakomunikowałem mu, że chodzi teraz tylko o podpisanie oraz natychmiastowe wysłanie dokumentu. Komendant uznał to za rzecz samą przez się rozumiejącą się, i Skrzyński położył (ołówkiem) na przedstawionym mu przez Arciszewskiego dokumencie podpis „Wilno 9.X 1919 Skrzyński” oraz adnotację „Wolno wysłać”. Natychmiast też wysłałem przez W. Sławka ten dokument jako radiogram i jednocześnie zakomunikowałem ten fakt agencji prasowej w Warszawie. Tak się wreszcie ta sprawa zakończyła.

Podczas uroczystości otwarcia uniwersytetu wileńskiego stale przebywałem w orszaku Komendanta, dzieląc z nim radość z powodu tego, tak doniosłego dla kultury polskiej faktu. W związku

z tą uroczystością Komendant wygłosił w gmachu uniwersyteckim wspaniałą mowę. Mówił nadzwyczaj płynnie, a ponieważ od czasu do czasu spuszczał oczy ku leżącej przed nim maciejówce, przeto wszyscy obecni byli przekonani, że odczytuje swą mowę. Pokazało się jednak później, że była to improwizacja i że stał się skandal, bo nikt z dziennikarzy mowy tej nie stenografował, ani nie notował, licząc na otrzymanie gotowego skryptu.

Po odjeździe Komendanta do Warszawy w dalszym ciągu informowałem go o sytuacji nad Bałtykiem. Około 20 października do Wilna przyjechała delegacja lotewska – już druga – tym razem z ministrem spraw zagranicznych Meierowiczem na czele. Jechała do Warszawy, aby – z jednej strony zabiegać o uznanie państwa lotewskiego *de facto*, z drugiej zaś – prosić rząd polski o pomoc przeciwko napaści niemiecko - rosyjskich wojsk Bermondta-Awałowa, które zagrażały już samej stolicy Łotwy.

Postanowiłem towarzyszyć tej delegacji do Warszawy, aby i w M.S.Z. i w Belwederze interwenjować w obchodzących ją sprawach. Udało mi się wypożyczyć u generała Malewicza, ówczesnego komendanta Grodna, wagon specjalny, któ-



rym przywiozłem delegację lotewską do Warszawy, gdzie zaraz zabrałem się do energicznego popierania zabiegów Łotyszy – przedewszystkiem w M.S.Z., później u Komendanta.

W M.S.Z. tymczasem nie było już tych trudności, co z uznaniem *de facto* Estonji. Paderewski zgodził się na podpisanie i wręczenie Łotyszom odpowiedniej deklaracji rządu polskiego, która miała być natychmiast sporządzona. Załatwiwszy w zasadzie tę sprawę z M. S.Z., zająłem się skomunikowałem delegacji lotewskiej z Komendantem.

Rano dn. 22 października wpadłem do Belwederu i zawiadomiłem Komendanta o przyjeździe Łotyszów. Umówiliśmy się z nim, że przyprowadzę ich do niego dopiero po ich wizycie u Paderewskiego.

– On napewno nie przyjmie ich jak należy i zrobi jakieś głupstwo. Ja wolę z nimi gadać później, niech wyjadą pod odpowiednim wrażeniem. Przywieź ich o 10-tej wieczorem – mówił Komendant.

Tak się też stało. Popołudniu, na Zamku, Paderewski doręczył Meierowiczowi uznanie Łotwy *de*

*facto*, przyczem zupełnie niepotrzebnie zastrzegł się, że, o ileby państwa Ententy zmieniły swój stosunek do państwa lotewskiego, to i Polska zmuszona byłaby postąpić tak samo. Nie wywołało to oczywiście dobrego wrażenia.

O 10-ej wieczorem przywiozłem Łotyszów do Belwederu. Komendant przyjął ich w małym pokoju na piętrze w sposób, pozbawiony wszelkiej sztywności oficjalnej. Zasiadliśmy wszyscy przy niedużym stole. Na wstępie została załatwiona sprawa języka, w jakim miały się toczyć obrady. Wobec tego, że wojskowi, przedstawiciele lotewskiego sztabu generalnego, towarzyszący Meierowiczowi, przeważnie nie znali żadnego języka cudzoziemskiego poza rosyjskim, Komendant zaproponował ten ostatni i począł wypytywać gości o położeniu na froncie. Było ono bardzo ciężkie, gdyż zbrojna siła niemiecko-rosyjska zagrażała bezpośrednio samej Rydze, stojąc na jej przedmieściach nad Dźwiną. Łotysze odmalowali sytuację w barwach, odpowiadających rzeczywistości, a więc dość ponurych. Komendant przeszedł odrazu do zasobów broni i amunicji, jakimi Łotysze rozporządzali. Dowiedziawszy się, że posiadają działa i karabiny takiego a takiego kalibru, zaczął wyliczać,



w jaki sposób Polska może te zasoby uzupełnić i wzmocnić. Mówił w ten sposób:

– Mogę wam dać tyle a tyle naboju tego kalibru, tyle karabinów maszynowych, tyle pocisków artyleryjskich, tyle naboju karabinowych i t.d.

Ponieważ w miarę wyjaśniania się wartości efektywnej tych obietnic, wciąż rosnących, Łotyszów najwidoczniej poczęło ogarniać zdumienie, w pewnej chwili Meierowicz z widocznym wzruszeniem spytał:

– Polska nam daje tyle.... Ale cóż Łotwa może dać wzamian?

Przypomniało mi się w tej chwili opowiadanie Łotyszów, że ich sojusznicy, Estończycy, kazali sobie dość słono płacić za wszelkie objawy pomocy, za każdy karabin, za każdą porcję sprzętu wojennego.

W odpowiedzi na pytanie Meierowicza Komendant żywo odparł:

– Ależ przecie Łotwa będzie silniejsza... (Da wied' Łatwija budiet silnieje...)

Wywarło to na Łotyszach wrażenie nadzwyczajne. Widziałem wyraźnie łzy w ich oczach.

Po wyliczeniu wszystkiego, co Łotysze mogą

otrzymać od Polski w postaci broni i amunicji, Komendant dodał:

– O ilebyście uzyskali od Litwinów wolne przejście przez terytorjum Litwy, byłbym mógł wam posłać pomoc i w formie oddziałów wojskowych... Postarajcie się otrzymać pozwolenie na ich przejście.

Dalszy ciąg tej konferencji przybrał charakter swobodnej pogawędki. Komendant kazał podać wina i wniósł toast na pomyślność Łotwy, czem, jak i wogóle całem przyjęciem, Łotysze byli mocno wzruszeni. Kiedyśmy się znaleźli, po pożegnaniu się z Komendantem, na dole, Meierowicz zwrócił się do mnie z następującymi, dobrze przezemnie zapamiętanymi słowami:

–Ja słyszał, czto wasz Naczelnik Gosudarstwa udiwitielno obajatielnaja licznost', no nikogda nie dumal, czto do takoj stiepieni... (Słyszałem, że wasz Naczelnik Państwa jest osobistością, wywierającą dziwny urok, ale nigdy nie myślałem, żeby aż do takiego stopnia...)

Oczywiście, Komendant wszystkich obietnic, danych Łotyszom, skrupulatnie dotrzymał.

Zrzadka wpadając z Wilna do Warszawy, bywałem w Belwederze i informowałem Komendan-



ta o sytuacji na północnym wschodzie. Zwykle bywał w nastroju pogodnym, czasem tylko skarżył się na obstrukcję i sabotaż, z którymi miał do czynienia – Mam wrażenie, że nogi moje są oblepione grząską gliną i muszę je z wielkim trudem z tej gliny wyciągać – tak charakteryzował swoje położenie.

Pewnego razu przy obiedzie Komendant opowiadał żartobliwie, że pewne sfery wszelkimi sposobami starały się zbadać, kto właściwie ma na niego wpływ. Dowiedziawszy się o tych zabiegach, Komendant puścił wersję, że na niego wpływ ma tylko „Szef” (Sosnkowski).

Mianowany przez M. S. Z. delegatem na I konferencję bałtycką w Helsingforsie, zanim otrzymałem pełnomocnictwa w ministerstwie, byłem u Komendanta, który w dłuższej rozmowie ze mną, odbytej dn. 31.XII.1919, udzielił mi instrukcyj, jakie zaraz potem, powróciwszy do domu, wynotowałem sobie w skrótach. Właściwie nie były to w ścisłym znaczeniu słowa „instrukcje”, tylko raczej poglądy Komendanta na sytuację ogólną wschodu Europy z uwzględnieniem tak interesów Polski, jak i jej polityki w dobie, która miała się zakończyć pokojem z Rosją.

Komendant wspomniał o delegacji rządu angielskiego, która nalegała na zawarcie pokoju z Rosją, stawiając tezę: „Pologne forte – amie de la Russie” Dobrze – mówił – ale uprzednio muszą być usunięte ślady napaści Rosji na Polskę, ślady rozbiorów. Na terenach zagrabionych musi być przeprowadzona próba ogniowa w postaci plebiscytowego rozstrzygnięcia losów całego byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, nie wyłączając i tych terenów, które nie zostały zajęte przez wojska polskie, wraz, naturalnie, z Litwą etnograficzną.

Komendant powoływał się na swoją odezwę wileńską, stanowiącą zapowiedź takiego właśnie rozstrzygnięcia sprawy – zapowiedź, której nie można cofnąć, bo w niej zaangażowany jest tak honor Polski, jak i honor samego Komendanta. Morale wojska, idącego na Moskwę, nie pozwala na nic innego. Poza tem musi być osiągnięta gwarancja dostępu do portów bałtyckich tak dla Polski, jak i dla Rosji. Wszelki ucisk narodowy Łotyszów musi być wykluczony... Niezależnie od plebiscytowego rozstrzygnięcia spraw terytorjalnych musi nastąpić strategiczne wyrównanie granic na południu od Prypeci – powiaty kowelski,



włodzimierski, łucki, przyczem jako zasada musi być postawiona granica. idąca o 10 kilometrów poza małemi rzeczkami i 25 kilometrów poza dużemi. Musi być zawarowana techniczna możność podniesienia sprawy Ukrainy. Petlura w Polsce korzysta z prawa azylu. Polska pomoże mu przy okazji, której trzeba wyczekać. Białoruś jest zupełnie jeszcze nie przygotowana, i występować obecnie ostro ze sprawą białoruską byłoby to kompromitowanie innych spraw, poważniejszych. Trzeba tworzyć precedensy i czekać odpowiedniej konjunktury, wytwarzając na razie w Polsce Piemont białoruski. Ententa powinna dać gwarancje co do naszych granic zachodnich, co spowoduje odciążenie naszych sił wojskowych. Musimy stawiać opór zakusom Rosji bolszewickiej, jak i każdej innej, przez popieranie dążeń niepodległościowych, uznając je *de jure*. Klucz sytuacji jest na północy, gdzie musi być stworzony wspólny front Finlandji, Estonji, Łotwy, Litwy i Polski. Pokój z Rosją musi być zawarty tylko razem, jednocześnie.

Specjalnie o Litwie Komendant mówił z pewnem rozdrażnieniem, gdyż jej stanowisko psuło całą harmonję, do której dążył w stosunku do

państw bałtyckich. Należy – mówił – traktować Litwę per nogam, objawiać wobec niej „negligeance”, bo jej politycy – to – albo durnie, albo sprzedajni. W ostateczności pobijemy ją.

Komendant poświęcił wielką uwagę Anglii i specjalnie mi zalecił, abym przy każdym zetknięciu się z dyplomatami i publicystami angielskimi kładł nacisk, że ta rola, jaką Polska chce odegrać wobec państw bałtyckich, nie tylko nie jest w sprzeczności z interesami angielskimi, ale – przeciwnie sprzyja im, gdyż Polska nad Bałtykiem może być pomocna Anglii w jej polityce.

Po konferencji bałtyckiej, na początku roku 1920 znów na jakiś czas powróciłem do Wilna, skąd wezwano mię do Warszawy w związku z przygotowaniami do pertraktacyj pokojowych z Rosją Sowiecką. Minister spraw zagranicznych Patek, z którym kolegowaliśmy w delegacji Naczelnika Państwa w Paryżu i który cenil moją znajomość spraw kresowych i bałtyckich, zaproponował mi stanowisko posła w Estonji, narazie zaś chciał mię użyć do pertraktacyj z delegatami poszczególnych państw, którzy mieli przybyć do Warszawy w związku z przygotowaniami pokojowemi. Pokój bowiem miał być zawarty – w myśl kon-



cepcji Komendanta – jednocześnie przez wszystkie państwa, których terytorja w całości lub częściowo należały do Rosji carskiej.

Trzeba też było załatwić i sprawę terytorjów spornych. Między innem chodziło o Białoruś.

W tej sprawie znowuż miałem rozmowę z Komendantem, gdyż mnie właśnie polecono przeprowadzenie pertrakcyj z przedstawicielami „rządu” (in partibus) białoruskiego, przebywającego w Mińsku, faktycznie zajmowanym przez władze polskie. Komendant pragnął, aby wymódz na Białorusinach poparcie naszych żądań w zbliżających się pertraktacjach z bolszewikami, szedł na znaczne koncesje kulturalno-finansowe dla Białorusinów, ale wszelkie traktowanie przedstawicieli inteligencji białoruskiej w Mińsku jako „rządu” wykluczał.

W Mińsku prowadziliśmy rokowania w ciągu paru dni i wkońcu wszystkie nasze postulaty, sformułowane przezemnie i Władysława Raczkiewicza, zostały przez delegatów białoruskich przyjęte, tak że mogłem zatelegrafować do Belwederu o pomyślnem spełnieniu zlecanej mi misji.

Kiedy dn. 29.III.1920 powróciłem z Mińska, po załatwieniu tam sprawy z Białorusinami, do-

wiedziałem się od ministra Patka, że pojedę wraz z nim do Borysowa w charakterze pełnomocnika podczas konferencji pokojowej z bolszewikami. Projekt ten „starszy pan” zaaprobował z zadowoleniem, jak mi oświadczył Patek.

Nazajutrz, 30.III. byłem u Komendanta – o godz. 4.30, aby mu złożyć osobiście sprawozdanie z pertraktacyj z Białorusinami w Mińsku. Kiedy mu zakomunikowałem o tem bezwzględnem zaufaniu, jakie czują do niego reprezentanci Białorusi, powiedział żartem:

– Wiesz, dalipan, jakby mię tu obrano królem, inni poszliby za tym przykładem... Białorusini i inni...

Zapytałem Komendanta o parę spraw, będących w związku z moim wyjazdem do Borysowa: jak stoi sprawa Ukrainy, jakie są plany wobec Białej Rusi, co myśli o ratyfikacji traktatu pokojowego z bolszewikami? Odpowiadał mi na te pytania pokolei:

– Co do Ukrainy, to Ukrainie Rakowskiego (sowieckiej) przeciwstawiamy Ukrainę Petlury i nie będziemy dyskutowali nad tem, która jest prawdziwsza, bobyśmy mogli to robić bez końca. Niech Ukraińcy sami zdecydują. W tym celu



žadamy zneutralizowania Kijowa dla zwołania tam konstytuanty z całej Ukrainy w granicach, uznanych przez nas na prawym brzegu, a przez nich na lewym brzegu Dniepru. Ta konstytuanta rozstrzygnie sprawę ukraińską. Co do Białej Rusi, to nic im do tego, jak rozstrzygniemy sprawę z Białorusinami. Jeśli chcą, to możemy wnieść do protokołu, że ani czezwyczajki nie wprowadzimy, ani nie odbierzemy nikomu głosu z powodu tego, że jest burżujem, albo proletarjuszem. W sprawie ratyfikacji traktatu pokojowego i połączonego z tem niebezpieczeństwa uznania rządów sowieckich przez nas *pierwszych* Komendant wogóle wypowiedział się szyderczo. Jesteśmy – mówił – *pierwsi*, którzy uznają rządy sowieckie – i to właśnie wówczas, kiedy te mogą upaść. Tu zapuścił się w rozważania na temat naszego pokoju z Bolszewikami i powtórzył z całym naciskiem to, co mówił posłowi włoskiemu, Tomassiniemu: – zmuszacie nas do robienia pokoju, będąc sami w dogodnej pozycji. Dla was dziś istnieje Kołczak, jutro jakieś kooperatywy, pojutrze Denikin... Ostatecznie wam jest wszystko jedno, kiedy dla nas, bezpośrednich sąsiadów Rosji, jest to kwestją wojny albo pokoju. My nie możemy latać za

zygzakami polityki aljantów. Albo zawrzemy pokój serjo, albo będziemy bić, bić, bić – aż drzazgi będą leciały.

Od Komendanta dowiedziałem się, że przyszła odpowiedź Cziczierina na naszą notę. Proponował zawieszenie broni lub – w razie niedojścia do tego – jedno z miast Estonji dla rokowań. Na nas termin godził się.

Na moje pytanie, co Komendant sądzi o szansach pokoju, odpowiedział:

– Nie wierzę w możliwość zawarcia teraz pokoju...

Istotnie, do zawarcia pokoju nie doszło. Zanosiło się natomiast na wznowienie poważnej akcji wojennej. Prowadzono pertraktacje z Petlurą i szykowano się do wyprawy na Ukrainę.

Ja w tym czasie byłem zajęty przygotowaniem do objęcia stanowiska posła w stolicy Estonji, dokąd też w kwietniu wyjechałem. Osiadłszy w Tallinie, nadsyłałem stamtąd od czasu do czasu do Belwederu ciekawsze wiadomości, ale mój osobisty kontakt z Komendantem z natury rzeczy rozluźnił się. Zresztą, wypadki, związane z wyprawą kijowską i wszystkimi jej konsekwencjami, wytworzyły sytuację, w której nie było miej-



sca na jakiegokolwiek stosunki o charakterze osobistym. Nasza placówka tallińska, leżąca na ubożcu, nie odgrywała poważniejszej roli, i Warszawa mało się nią interesowała, zwłaszcza, jeśli chodziło o samo poselstwo. Bardziej było zaangażowane nasze przedstawicielstwo wojskowe, utrzymujące stały i ścisły stosunek ze sztabem generalnym, skąd nadchodziły wiadomości z frontu.

W sierpniu znalazłem się w Rydze, a raczej w podryskiej miejscowości kąpielowej Bulderi (Bilderslingshof), gdzie odbywała się II konferencja bałtycka. Byłem przewodniczącym delegacji polskiej i w tym charakterze doczekałem się wiadomości o naszej kontrofensywie i pierwszych zwycięstwach. Po skończonej konferencji bałtyckiej powróciłem do Tallina, ale tam już długo nie popasałem. Ponieważ zanosilo się teraz na rozpoczęcie rokowań pokojowych, przeto napisałem list do Naczelnika Państwa, aby zechciał skorzystać z mojej znajomości stosunków rosyjskich i kresowych.

W odpowiedzi na to zostałem wezwany do Rygi, gdzie miały się toczyć rokowania z przedstawicielami Rosji i Ukrainy Sowieckiej. Wszedłszy do delegacji polskiej, pełniłem swe funkcje

tak podczas preliminarjów, jak i przy zawieraniu ostatecznego pokoju, który podpisałem wraz z czterema innymi delegatami Państwa Polskiego.

Podczas pobytu w Rydze znowuż informowałem Belweder o sytuacji, komunikując Naczelnikowi Państwa wszystko, coby mu w ten czy inny sposób mogło ułatwić orjentowanie się w ówczesnej, bardzo zawilej, sytuacji w Rydze.

Po podpisaniu ryskiego traktatu pokojowego mianowany zostałem przewodniczącym Delegacji Polskiej w Mieszanej Komisji Granicznej na Wschodzie, co mię na szereg lat oderwało od Warszawy, gdyż przez cały czas ustalania granicy polsko-sowieckiej przebywałem na terenie mej pracy. Wpadałem do Warszawy bardzo rzadko, wyłącznie służbowo. Rzadko też widywałem się w tym czasie z Komendantem.

Kiedym wraz z Kazimierzem Rożnowskim i pułkownikiem Janem Hemplem (którzy wraz ze mną stanowili prezydium Delegacji Polskiej) wybierał się do Mińska dla rozpoczęcia prac delimitacyjnych, byliśmy u Naczelnika Państwa. W rozmowie z nami kładł nacisk na to, że my, jako jedyna na razie placówka polska, mająca bez-



pośrednią styczność z Sowietami, powinniśmy mieć otwarte oczy i uszy na wszystko, co się dzieje.

W kilka miesięcy później podczas parudniowego pobytu w Warszawie znowu byłem w Belwederze. Naczelnik Państwa rozpytywał mnie o warunki pracy delimitacyjnej, traktując dość lekceważąco gruntowność naszych zabiegów technicznych – wszechstronność pomiarów, dbanie o wytrzymałość słupów granicznych i t. p. Widoczne było, że nie bardzo wierzył w trwałość pokoju i przewidywał nową wojnę z bolszewikami.

Ponieważ te przewidywania wojenne nie trafiały mi do przekonania wobec wszystkiego tego, co widziałem w Sowdepji, spytałem go więc wręcz:

Kiedyż, Twojem zdaniem, może wybuchnąć ta wojna?

– Jeszcze w tym roku – odpowiedział z przekonaniem. – Chyba że – dodał po chwili milczenia – bolszewicy zwrócą całą swą uwagę ku Wschodowi. W takim razie nam by bezpośrednio niebezpieczeństwo nie groziło.

Kiedy już prace delimitacyjne były na ukończeniu, znowu widziałem się z Naczelnikiem Państwa. Z tej linii, jaką ostatecznie uzyskaliśmy przy

stosowaniu linii traktatu ryskiego w terenie, był zadowolony, ale uważał, że pewne miasto, którego tu nie chcę wymieniać, mogliśmy śmiało zostawić bolszewikom, gdyż nie posiada ono dla Polski żadnego znaczenia. Mogliśmy je przytem potraktować jako obiekt wymienny za te osiedla polskie, które na podstawie traktatu ryskiego w dość pokaźnej liczbie znalazły się poza linią graniczną, a o które prowadziliśmy z delegacją bolszewicką długotrwałe spory wobec nieposiadania przez nas odpowiednich osiedli czy obszarów na wymianę.

Następnym razem byłem w Belwederze wkrótce po uznaniu przez Konferencję Ambasadorów granic wschodnich Rzeczypospolitej (15 marca 1923 r.). Ponieważ uchwała Rady Ambasadorów oparła się na mapie, opracowanej przez naszą Komisję Graniczną na Wschodzie, więc rozmowa toczyła się na temat prac granicznych i stosunków, panujących podczas ich przeprowadzania między delegacjami – polską i sowiecką. Naczelnik Państwa z zainteresowaniem słuchał mojej charakterystyki poszczególnych etapów naszej pracy i wypytywał o wrażenia z Moskwy, skąd wróciłem po podpisaniu tam t. zw. operatu gra-



nicznego, sporządzonego przez obydwie delegacje. Uchwałę Rady Ambasadorów uznał za wielki sukces ministra Skrzyńskiego, z goryczą odzywał się o stanowisku Francji w sprawie uznania naszych granic wschodnich i zaznaczył, iż decyzję w tej sprawie zawdzięczamy Mussoliniemu, nie zaś Francuzom, naszym sojusznikom. Uchwałę Rady Ambasadorów uważał za doniosłą, zwłaszcza w odniesieniu do Galicji Wschodniej, gdyż zamykała ostatecznie ten okres niepewności, który uniemożliwiał tam stabilizację stosunków. Wskazywał między innymi na fakt charakterystyczny, że dopiero po definitywnym przyznaniu Galicji Wschodniej Polsce ruszyły na tem terytorjum pewne większe zakłady przemysłowe (w Zagłębiu Naftowym).

Kiedyśmy rozmawiali na temat prac delimitacyjnych, zakomunikowałem Naczelnikowi Państwa, że opracowuje się szczegółową, dość dużą, mapę, na której mają być uwidocznione wszystkie miejscowości nadgraniczne po obydwóch stronach – polskiej i sowieckiej. Bardzo się tem zainteresował i prosił, bym mu ją dostarczył, jak tylko wyjdzie z druku.

Prace nad tą mapą trwały dość długo, tak, że mogłem ją Komendantowi doręczyć w całkiem

już zmienionych warunkach, po jego dymisji ze stanowiska szefa sztabu i wycofaniu się z wojska – w Sulejówku – w lecie 1923 r. Mapa, opracowana w wyniku naszych prac delimitacyjnych przez Ministerstwo Robót Publicznych, była ładna i bardzo spodobła się Komendantowi. Bardzo mi też za nią dziękował.

Ponieważ tego dnia w Sulejówku było kilka osób, które czekały na rozmowę z Komendantem, przeto nie mogłem długo pozostawać z nim sam na sam. Kiedyśmy mieli przejść z jego gabinetu do salonu, spytał mię:

– Cóż, czy ciebie endecy wyrzucili?

– Nie – odpowiedziałem – i tłumaczyłem ten fakt okolicznością, że z powodu specjalnego charakteru moich czynności, związanych ze sprawami granicznymi, byłem niejako na uboczu, więc mało się moją osobą interesowano.

Był to okres słynnych rugów partyjnych w M. S. Z. za czasów ministerstwa Marjana Seydy – rugów, przeprowadzanych, jak fama głosiła przez Zielińskiego, działacza narodowodemokratycznego, późniejszego konsula polskiego w Berlinie.

Tego dnia zastałem w Sulejówku niejakiego



d-ra Orłowskiego z Ameryki, który był mężem zaufania Paderewskiego i przyjechał do Komendanta, wrzekomo, aby mu złożyć uszanowanie. a właściwie dla zasięgnięcia języka o jego zamiarach i planach.

Komendant, którego w paru słowach poinformowałem na uboczu, czem jest ów dr. Orłowski, przyjął go uprzejmie i z wielkim ożywieniem opowiadał o stosunkach... w Tunce, na zesłaniu, przytaczając między innymi jakąś długą, nader charakterystyczną legendę burjacką o słoniu. Opowiadanie to zajęło tyle czasu, że dr. Orłowski nie miał już żadnej możliwości skierowania rozmowy na bardziej go interesujące tematy, wstał i pożegnał się, bo musiał jeszcze przed powrotem do miasta zwiedzić subsydjowany przez Paderewskiego przytułek dla starców w tymże Sulejówku.

Po tej wizycie w Sulejówku widywałem się z Komendantem tylko przełotnie, głównie z okazji jego odczytów, które miewał na tematy wojskowe – czy to w Towarzystwie Higienicznym, czy w Kamienicy książąt Mazowieckich.

W r. 1924 zostało sprowadzone do Warszawy dawne archiwum londyńskie P. P. S., które po zlikwidowaniu ostatecznym placówki partyjnej

w Londynie w l.l. 1905–1907 pozostało tam pod opieką znanego bibliofila W. Woynicza. Miało ono być wydane w razie potrzeby instytucji czy osobie, która wylegitymowałaby się upoważnieniem 2-ch z pomiędzy 3-ch osób następujących: D-ra W. Jodki, Stanisława Wojciechowskiego i Józefa Piłsudskiego. Kiedy więc nadszedł odpowiedni moment – już w niepodległej Polsce – aby to niezmiernie cenne archiwum przenieść do kraju, zostało to dokonane sumptem Prezydenta Wojciechowskiego. Jeden z najstarszych działaczy, b. „londyńczyk”, Aleksander Dębski, pojechał do Londynu i przywiózł stamtąd archiwum P. P. S., które zostało złożone w Belwederze.

Na wszelki wypadek Komendant miał mi dać pełnomocnictwo w sprawie korzystania z materiałów, dotyczących jego osoby, a znajdujących się w tem archiwum. Dnia 4 października 1924 r. udałem się do K. Świtalskiego, w którego mieszkaniu Komendant w owym czasie zwykle zatrzymywał się, przyjeżdżając z Sulejówka.

Komendant wydał mi następujący dokument:

*„Upoważniam p. Leona Wasilewskiego do przeglądu archiwum londyńskiego i do*



podjęcia stamtąd w mojem imieniu rzeczy,  
ze mną związanych.

Warszawa, dnia 4 października 1924.

J. Piłs."

Był tego dnia widocznie zmęczony, kiedy podpisywał mi upoważnienie powyższe, ale, kiedy go w chwilę potem spytał o zdrowie dzieci, od razu ożywił się i jął opowiadać rozmaite zabawne historyjki o swoich ukochanych dziewczynkach. Później rozmowa przeszła na inne tematy, przede wszystkim na wspomnienia o Tuncie i Bronisławie Szwarcem, z którym dłuższy czas tam przebywał. Prawie godzinę mówił o tem, z humorem opowiadając o rozmaitych rysach charakteru i życia towarzysza niedoli wygnańczej, którego bardzo lubił.

Ponieważ Prezydent Wojciechowski zastrzegł sobie, aby mu oddać paczkę z archiwum P. P. S., zawierającą korespondencję i papiery, dotyczące stosunków z Japończykami w r. 1904, przeto zagadnąłem Komendanta o tę sprawę, a to, co mi powiedział 4. października, zaraz potem sobie pokrótce zanotowałem.

Komendant mówił: Zażądałem broni. W Lon-

dynie otrzymałem od posła list do ministra spraw zagranicznych w Tokio. Przyjął nas jego pomocnik. Postępowali „bardzo nobliwie”. Poruszono dwie sprawy – broni, której oni by dostarczyli, i jeńców. Tę drugą załatwiono: dopuszczono do obozu (Mutsu-jama) Jamesa Douglasa, jako reprezentanta Polaków, jeńców Polaków oddzielono od Moskali, zapewniono Polakom dostarczanie książek i t. d. Co do broni – mówili „daleko”, „da wied’ ob etom gradonaczalnik uznajet”. Ostateczna odpowiedź: na to nie pozwala prawo międzynarodowe, o które Japonja pod baczynym wzrokiem państw europejskich musi bardzo dbać. Żadnych propozycyj nie robiono. Zwrócono koszta podróży Komendantowi i Filipowiczowi. Dmowski podstawił nogę, zapewniał Japończyków, że nie Rosja, a Niemcy są głównymi wrogami Polaków. Obejrżeli Fudźijamę (słynny wulkan) i powrócili przez Kanadę. W Japonji szpiegowano ich bardzo usilnie, co było w porządku. Paryski attaché przypominał „ochrannika”, londyński był bardzo przyzwoity. Mówiono, że takie rzeczy sztab tylko rozstrzyga, a członkowie sztabu byli już na froncie. Komendant miał wrażenie, że ich chciano głównie obejrzeć i dla tego



sprowadzono do Japonji. Po drodze statek (angielski) bał się ogromnie rosyjskich okrętów, chował pocztę i t. d. Komendant powiedział, że wobec takich rezultatów nic dalej nie będzie robił w tym kierunku. Dał Wojciechowskiemu, Aleksandrowi Malinowskiemu i Jodce wszystkie informacje i nie interesował się już resztą. Może oni coś tam robili i dlatego Wojciechowski chce wycofać te papiery.

W latach 1925 – 1926 i później rzadko bywałem przez czas dłuższy w Warszawie, gdyż moja nominacja służbowa – stanowisko przewodniczącego delegacji polskiej do Mieszanej Komisji Granicznej polsko-rumuńskiej wymagało stałego przebywania na granicy Rumunji. Dlatego też zaledwie parę razy udało mi się w tym czasie wpaść do Sulejówka i zobaczyć się z Komendantem. Z tych wizyt utrwaliła się w mojej pamięci tylko ostatnia – w niedzielę, poprzedzającą wypadki majowe 1926 roku.

W tym czasie organizowała się akademja ku uczczeniu Marji Paszkowskiej, znanej działaczki z czasów, kiedy Piłsudski stał na czele P. P. S., wilnianki i osoby, bardzo zasłużonej, zwłaszcza na

polu pomocy więźniom politycznym, później zaś opieki nad emigrantami politycznymi i ich dziećmi w Galicji. Organizatorom tej akademji bardzo chodziło o to, aby Komendant wziął w niej udział osobisty, więc prosili Panią Marszałkową o interwencję w tej sprawie. Wkrótce otrzymaliśmy odpowiedź przychylną.

Otóż w ową niedzielę udałem się wraz z panią Stanisławą Woszczyńską do Sulejówka, aby upewnić się, czy Komendant przybędzie na akademję, i zaprosić go jeszcze raz osobiście. Czekaliśmy na Komendanta dość długo, rozmawiając z panią Marszałkową. Wyszedł do nas w nastroju dość ponurym, ale obiecał, że przybędzie na akademję. Widać było, że jakieś poważne troski zaprzatają go w tej chwili i że naszą prośbę traktuje zupełnie formalnie...

Było to moje ostatnie spotkanie osobiste z Marszałkiem Piłsudskim.

Kiedy w roku 1929 ś. p. generał Juljan Stachiewicz zakomunikował Marszałkowi, że Komitet Redakcyjny, przygotowujący wydanie jego dzieł, zwrócił się do mnie o zredagowanie pierwszych dwóch tomów „Pism – Mów – Rozkazów”, Marszałek wyraził żywe zadowolenie z tego. To



też w ostatnich latach stale obcowałem z tworam  
jego Ducha, czy to redagując poszczególne tomy  
„Pism – Mów – Rozkazów”, czy też opracowując  
jego korespondencję z lat dawnych.

Warszawa, 19 maja 1935.



201774

TREŚĆ:

	str.
Przedmowa	5
Towarzysz „Wiktor“	7
„Ziuk“	57
Komendant	127
Naczelnik Państwa	169